ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY
TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY
I SPOŁECZNY

REDAKCJA I
ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 226-83 I 152-05.

№ 7
WARSZAWA
DNIA 16 LUTEGO 1913 R.

TADEUSZ CZACKI

(W setną rocznicę zgonu).

Gdy w drugiej połowie XVIII-go wieku poczęło się budzić w narodzie jakby przeczucie przyszłych klęsk, na strażnicy ojczyzny stawały szeregi ludzi, ożywione nietylko miłością lub odwagą, na której nam przecież nigdy nie zbywało, lecz pełne również i poczucia obowiązku oraz odpowiedzialności za czyny i tej rozwagi politycznej i społecznej, którą tylko w wyniku prawdziwy rozum i wyjątkowe uzdolnienie dać może. Budziło się poczucie i świadomość narodowa w przededniu wypadków, które, jako fatalny zbieg okoliczności, miały w polską pierś uderzyć. Jawili się dostojni synowie ojczyzny, mężowie światli i szlachetni, lecz nic już lawiny losu nie zdołało powstrzymać, nic już nie mogło odwrócić katastrofy. Za późno bowiem było! za późno!



TADEUSZ CZACKI
(1765 — 1813).
Ze zbiorów H. Wildera.

Jedną z gwiazd pierwszej wielkości wśród opatrznościowych tych mężów, był niezaprzeczenie Tadeusz Czacki, urodzony w r. 1765 w Porycku na Wołyniu.

Dziecięctwo Czackiego przypadło w okresie, gdy nieszczęścia zaczęły już nawiedzać ojczyznę.

W r. 1772 następuje pierwszy rozbiór Polski. Ojciec Czackiego wówczas traci wolność, osadzony przez Austrjaków w więzieniu w Brodach. Wychowaniem chłopca, pozbawionego opieki (matka Katarzyna z Małachowskich, córka wielkiego kanclerza ko-

ronnego, Jana, zmarła na parę lat przedtem), kieruje wuj, a środki materjalne magnackiej fortuny Czackich pozwalają na świetne przygotowanie młodzieńca w domu do dalszych studjów i karjery publicznej.

W r. 1784 wyjeżdża Czacki do Warszawy, gdzie początkowo pracuje jako prawnik, lecz wkrótce zbliżywszy się do ludzi tej miary, jak Adam Naruszewicz, Jan Albertrandy i inni, upodobania swe przenosi na literaturę, historję i w części na nauki przyrodnicze.

W tymże roku mianowany zostaje przez Stanisława Augusta członkiem Komisji kopalń, na którem to stanowisku oddaje wielkie zasługi przy poszukiwaniach żup solnych, po zagarnięciu Wieliczki przez zaborczych Austrjaków.

Jako członek Komisji finansów (r. 1786), zajmuje się kwestją spławu rzek i z własnej szkatuły asygnuje olbrzymią na ówczesne stosunki sumę 100,000 dukatów na prace nad przygotowaniem mapy hydrograficznej Polski i Litwy z oznaczeniami 4,819 rzek, rzeczek i strumyków oraz szczegółów, dotyczących ich biegu. (Mapa ta obecnie znajduje się w Petersburgu).

W tymże czasie obmyśla Czacki sposoby podniesienia handlu w Polsce i kwestję spławu rzek łączy ze sprawą portów, a przedewszystkiem Gdańska, punktu głównego handlu z Anglją. Jako związaną z handlem, zajmuje się również i kwestją żydowską oraz reformą praw względem żydów.

W r. 1791 delegowany zostaje przez Komisję finansów wspólnie z Janem Horainem i Tomaszem Wawrzeckim do spisu i rewizji skarbów królewskich w Krakowie, zanim zostały one w następstwie skradzione i wywiezione przez prusaków. W długim referacie, jako wytrawny archeolog i historyk, pisze Czacki o konieczności i sposobach konserwacji zamku królewskiego na Wawelu, nie przewidując, że ta świątynia naszych pamiątek narodowych w kilka lat później zostanie obróconą na... koszary, szpital i więzienie.

Po wprowadzeniu konstytucji z dnia 3 maja 1791 roku, przedstawił Czacki Komisji finansów konieczność sporządzenia dokładnej mapy Polski od Karpat do Baltyku, a Jan Śniadecki i Feliks Radwański, znakomici ówcześni uczeni, mieli wykonać zamierzone dzieło; niestety jednak—drugi i trzeci rozbiór nie pozwolił im dokończyć rozpoczętej pracy.

W r. 1791 Czacki zostaje odznaczony wielką wstęgą orderu Orła-Białego i piastuje jednocześnie tytuł starosty nowogrodzkiego.

Przybity ohydą konfederacji Targowickiej oraz uchwałą grodzieńską, zatwierdzającą pod paszczami armat, ustawionych wkoło gmachu posiedzeń, drugi rozbiór Polski, wyjeżdża do Krakowa, zrywa z życiem politycznem i poświęca się wyłącznie pracy literackiej i badaniom historycznym.

Podczas powstania Kościuszkowskiego, Czacki bierze znów czynny udział w administracji finansami, za co jednak, po upadku powstania, obłożono konfiskatą wszystkie jego dobra, wartości kilku miljonów rubli. Dzielny mąż jednak nie rozpacza i nie traci energji, lecz postanawia dalej pracować przy uniwersytecie w Krakowie.

Wkrótce jednak karta znów się zmieniła. Katarzyna II umiera, a na tron wstępuje jej syn Paweł, dobrze usposobiony do polaków i przywracający ukazami wszystkie prawa przez poprzedni rząd zniesione. Między innemi więc i skonfiskowane dobra zostają zwrócone prawym właścicielom; Czacki również odzyskuje swoją fortunę, a pierwszym jego czynem jest wtedy udzielenie przedewszystkiem pomocy politycznym polskim zesłańcom na Syberji.

Korzystając z przychylności dla polaków Pawła I-go, rzuca Czacki myśl, a następnie składa sam petycję do tronu w sprawie ogólnej amnestji dla Polski. Szlachetna ta prośba została w następstwie przez cesarza wysłuchana.

Otrzymawszy od bawiącego wówczas w Moskwie zdetronizowanego króla Stanisława Augusta, do użytku publicznego i własnych badań, wspaniały zbiór rękopisów, odnoszących się do historji Polski (Zbiór ten kosztował króla około 1,000,000 złotych polskich), poświęca się Czacki pracy historycznej, która uwieńczona zostaje wiekopomnemi jego dziełami, odnoszącemi się przeważnie do historji prawa polskiego i litewskiego. W pracach swych wskrzesza znakomity autor z pyłu zapomnienia wielu pisarzy polskich wraz z ich dziełami. Po Czackim pracę jego dalej prowadzili dwaj wielcy nasi uczeni Joachim Lelewel i Aleksander Maciejowski, kierując się jednak zawsze wskazówkami swego poprzednika.

Po wprowadzeniu w Warszawie rządów pruskich, które obaliły wiele przywilejów

nadanych przez Pawła I, udaje się jednak Czackiemu przeprowadzić łącznie z Janem Albertrandym, Stanisławem Sołtykiem i Franciszkiem Dmochowskim zalegalizowanie przez Fryderyka-Wilhelma w r. 1802 *Towarzystwa Przyjaciół Nauk*, które przez trzydziestoletni okres swego istnienia nieobliczalne zasługi położyło na niwie ojczystej oświaty. Ukaz cesarza Mikołaja I-go skasował Towarzystwo w r. 1832.

W r. 1803 cesarz Aleksander I powierza Czackiemu dyrektywę wydziału oświaty publicznej na Wołyniu, Podolu i w gub. kijowskiej. Parę szkół w stanie opłakanym— oto wszystko, co znajdowało się wówczas na tym wielkim obszarze kraju. Stanąwszy na czele urządzeń oświatowych, wszystkie swe siły wytężył wielki mąż w kierunku tworzenia nowych zakładów naukowych, a przedewszystkiem otworzenia zakładu, któryby dawał młodzieży nietylko wykształcenie średnie, lecz i wyższe uniwersyteckie. Do urzeczywistnienia powziętej myśli zabrał się Czacki z prawdziwem zaparciem się siebie i z niezwykłą energją, trzeba było bowiem pokonać wiele trudności, związanych z uzyskaniem pozwolenia i zatwierdzeniem projektu szkoły, a przedewszystkiem z zebraniem funduszu potrzebnego na ten cel doniosły.

Za najodpowiedniejsze miejsce do budowy nowej centralnej szkoły uznał Czacki Krzemieniec, miasteczko wprawdzie niewielkie lecz położone w środkowym punkcie kraju, w niezłych stosunkowo warunkach komunikacji, a przedewszystkiem posiadające zabudowania po dawnem kolegjum Jezuitów i poklasztorne po o.o. Bazyljanach, w których miała się właśnie mieścić nowa szkoła.

Pozwolenie na szkołę zostało podpisane przez cesarza Aleksandra 19 grudnia 1803 r. Dzięki zabiegom Czackiego i zaufaniu, które społeczeństwo względem niego żywiło, składki posypały się obficie, a w dniu 1 października 1805 r. nastąpiło już uroczyste otwarcie szkoły — spełnienie marzeń szlachetnego inicjatora i założyciela.

Szkoła dzieliła się na kursa początkowe o zakresie gimnazjalnym i kursa wyższe z zakresem uniwersyteckim. Kursa wyższe dzieliły się na trzy oddziały, każdy znów z kursem dwuletnim. Urządzenie szkoły było ostatnim wyrazem tego wszystkiego, co wówczas można było dać uczelni. Znajdowało się tam obserwatorjum astronomiczne z drogimi przyrządami, gabinet mineralogiczny i ogród botaniczny, jeden może z najwspanialszych w całym kraju. Wśród sił profesorskich, które Czacki, obdarzony rzadkim zmysłem organizacyjnym, umiał wkoło siebie zgrupować, widzimy takie nazwiska, jak Aloizy Feliński, Józef Korzeniowski, Kaczkowski i w. in.

Wciąż jednakże wpływy postronne starały się szkodzić dziełu, w które Czacki włożył tyle poświęcenia i pracy. Pod pretekstem, że szkoła założona jest w nieodpowiedniem miejscu, starano się ją nieraz przenieść do Moskwy i tylko dzięki uczciwości i rozumowi ówczesnego ministra oświaty w Petersburgu—Zawadowskiego, dzieło Czackiego trwało nadal w Krzemieńcu.

Gdy Napoleon I po bitwie pod Jeną wkroczył w r. 1807 do Księstwa Warszawskiego, oskarżono Czackiego o pozostawanie w jakichś jakoby tajemnych stosunkach z cesarzem francuzów, wskutek czego, za sprawą jenerał-gubernatora kijowskiego Kutuzowa, zesłano go do Charkowa na osiedlenie i dopiero, gdy sprawa oparła się o Petersburg, cesarz Aleksander zdjął z niego banicję i przywrócił do łaski.

Po powrocie do kraju zastępuje Czacki kuratora uniwersytetu w Wilnie, ks. Adama Czartoryskiego, gdzie w przeciągu krótkiego czasu staje się widocznem coby mógł ten genialny człowiek uczynić z uczelni, tymczasowo tylko powierzonej jego pieczy.

Wkrótce powraca Czacki do swej ukochanej szkoły w Krzemieńcu, a powrót jego zostaje zaznaczony otwarciem tam nowej szkoły jeometrów, wielce potrzebnej dla kraju.

Zaraz potem powołany jest na prezesa komisji edukacyjnej na Wołyń, Podole i ziemię kijowską. I tu wielka praca Czackiego wydaje owoce: w pierwszych latach istnienia komisji 2.350.000 złotych polskich produkcyjnie zostaje użyte na cele oświatowe!

Jedną z największych zasług Czackiego jest zakładanie szkół początkowych. Dzięki wpływom, które miał na księży, przeprowadził że niemal w każdej parafji powstała przy kościele szkółka początkowa, a prócz ofiar, które społeczeństwo łożyło, dziesiąta część dochodów parafjalnych szła na utrzymanie szkółki. Takich szkółek parafjalnych założył Czacki 85 na Wołyniu, 26 na Podolu i 15 około Kijowa. Dla uczczenia zasług Czackiego, jeszcze za życia ustawiono jego biust, wykuty w marmurze, w wielkiej sali

bibljoteki w Krzemieńcu, która powstała z własnej bibljoteki Czackiego, ofiarowanej miastu (około 20.000 tomów i z postronnych darów, również około 20.000 tomów). Oprócz tego wybito medal na pamiątkę jego nieśmiertelnych zasług.

Ostatniem dziełem Czackiego było otwarcie gimnazjum w Kijowie.

Po niefortunnej kampanji napoleońskiej r. 1812, wziąwszy bardzo do serca niepowodzenia i nieziszczone nadzieje ojczyzny, zapadł Czacki na zdrowiu, a w dniu 20 lutego 1813 roku zmarł w Dubnie, spiesząc do Krzemieńca na powitanie ks. Adama Czartoryskiego. Został pochowany w Porycku w grobach rodzinnych, lecz serce, złożone w urnie, pozostało się w kościele przy ukochanej jego szkole w Krzemieńcu.

Po śmierci swego wielkiego założyciela, szkoła w Krzemieńcu istniała jeszcze przez lat 18, a w r. 1821 otrzymała nawet nazwę lyceum wołyńskiego. Jednak w parę lat później, gdy Nowosilcow został kuratorem uniwersytetu w Wilnie i skierował swe ograniczenia przeciwko tamtejszej młodzieży, duch reakcyjny dał się odczuć również i w Krzemieńcu. Ostatecznie, po wybuchu rewolucji w r. 1830, zawieszono wykłady, zaś w rok później zupełnie skasowano świetne lyceum.

W Czackim, budzące się wówczas społeczeństwo polskie straciło genjalną jednostkę, obdarzoną nadzwyczajnemi zdolnościami organizacyjnemi, wielkim rozumem i rzadkimi przymiotami serca.

Gdyby ojczyzna nasza miała wcześniej takich synów, chociażby już od czasu pierwszych Sasów, i żeby ich miała więcej — nie doszłoby do katastrofy, tego smutnego następstwa braku jedności, organizacji i światłego rozumu, obejmującego trzeźwo teraźniejszość narodu i mądrze przeczuwającego jego przyszłość.

Rocznica, którą właśnie obchodzimy, winna być uroczystością narodową, przypomnieniem—w świetle wiekopomnych czynów nieśmiertelnego człowieka — tych wszystkich błędów przeszłości, których w imię świętych obowiązków, na przyszłość powinniśmy się wystrzegać.

Walenty Zieliński.



Car Duszan Silny.

LISTY Z BAŁKANU.

(Oryginalna korespondencja „Złotego Rogu").

VII. *)

(Siedemdziesiąt siedem łacińskich zamków. Belgrad pod Rzymem, pod Bizancjum i pod Węgrami. Car Duszan silny. Hunyady w poezji serbskiej. Tureckie rządy. Odsiecz austrjacka).

Belgrad dnia 6 lutego.

Jak większość punktów obronnych nad Dunajem, Belgrad założyli Rzymianie.

Już stare pieśni serbskie śpiewają o siedemdziesięciu siedmiu „łacińskich zamkach" *nad plawim Dunawom* [1]) — cyfrze oczywiście nie zupełnie ścisłej, dobranej dla miłości dźwięku, jaką pieśń i legendy ludowe żywią dla siódemki.

Singidunum nazywał się ów Belgrad najstarszy i dawał warowne oparcie IV-ej legji orłów rzymskich.[2])

Julian Apostata[3]) wydziera go ze szponów królewskiego ptaka i wprowadza w krąg wpływów kultury bizantyjskiej — aż póki płomienie pożogi wzniecónej dziką ręką Gotów i Hunów nie zetrą z powierzchni ziemi łacińskiego grodu bezpowrotnie.

Po długich latach ruiny wstaje ze zgliszcza starożytnego *Singidunum* — słowiański *Beli grad* [4]).

Lecz słowiański jeno etnograficznie.

---

*) Numeracja poprzednich korespondencji była błędna; było ich sześć, ta więc jest siódmą z rzędu.

[1]) *Plawi*—niebieski. Używany także w znaczeniu jasny. Ma sens ujemny, nieomal pogardliwy, gdy go się zastosuje dla określenia cery, czy włosów człowieka, bo Serbowie i Serbki tylko ludzi czarnych uważają za pięknych. Dunaj — najstarsza nazwa tracka: *Hister*. Po grecku: *Istros*. Po łacinie: *Danubins*. Po turecku: *Tuna*. Po serbsku: *Dunaw*.

[2]) Z czasów rzymskich zachowały się ślady robót obronnych w dzisiejszej twierdzy i studnia, zwana tutaj „bunar". Ponadto liczne wykopaliska świadczą o pobycie panów świata w starożytnym Belgradzie.

[3]) W r. 361 po Chr. [4]) W VII wieku po Chr.

Politycznie jest przedmiotem łupu i zażartych walk między Madziarami i cesarstwem bizantyńskiem. [5])

Pod panowanie słowiańskie dostaje się po raz pierwszy nie drogą krwi i miecza lecz drogą weselnej radości — jako wiano królewskiej córy z nad Cisy, wydanej za carewicza Serbji.

Dopiero car Duszan Silny[6]) — największa postać w historji narodu serbskiego — zagarnia Belgrad pięścią. I pięścią też go dzierży ten najsławniejszy i najmocniejszy władyka serbski — *car Srba, Bugara, Grka i prymorski strana* — który Bogu dumnie mówił: „Za Twoje i za moję imię się trudzę!“

Ale Duszanowa potęga przemija.

Po wieku sławy — sławy od Dunaju do morza — zaciąga się wschód chmurami nowego proroka. Przychodzi katastrofa na *Kossowem polu* [7]). Car Stefan Lazarowicz pierwszy zgina kark pod stopę niewierną, uznaje się lennikiem sułtana.

Belgrad traci swój blask drogiego kamienia w zbytkownej koronie królewskiej, by skupić na sobie strwożone spojrzenia ludu szukającego w jego twierdzy już nie promieni chwały i narodowej dumy, lecz obrony i ostatniego ratunku przed potopem osmańskich fal.

Następca Stefana, słaby car Dżiordżio Brankowicz już nawet w moc naddunajskiej fortecy nie wierzy, nie widzi już nigdzie oparcia przed nawałą turecką i oddaje Belgrad Węgrom w zamian za okruszynę spokojnej i bezpiecznej ziemi nad Cisą.

W ten sposób Belgrad — *nie pozostawszy nawet jednej pełnej setki lat w rękach serbskich* — powraca pod rządy madziarskie.

Tymczasem Murad II, mszcząc się za zdradę wasala, zalewa dzierżawy serbskie, zagarnia stołeczny Nisz i po raz pierwszy prowadzi zieloną chorągiew pod mury Białogrodu. [8])

„Ostoja chrześcijaństwa“, jak wówczas twierdzę nad Sawą i Dunajem nazywano, wytrzymuje oblężenie. Załoga na poły serbska, na poły węgierska pod wodzą Hunyady'ego odpiera szturmy zwycięsko. Murad cofa się do Stambułu, pozostawiając w Serbji entuzjazm i echa bohaterskich czynów obrony, która wnet przejdzie w legendę i stworzy bogaty materjał dla klasycznych pieśni serbskiego narodu.

I stanie się rzecz ciekawa i rzadka w historji literatury. Belgrad przeszedł w ręce węgierskie niejako za zdradą cara Dżiordżia Brankowicza, który w pamięci ludu został za to przeklęty. Cały naród odczuł głęboko utratę swojego dumnego grodu na rzecz odwiecznego wroga madziarskiego. Hunyady rządzi Belgradem z ramienia królów węgierskich. Hunyady jest więc widomym wyrazicielem nienawistnej siły najeźdzczej.

I ten sam Hunyady — wprawdzie za obronę Belgradu, ale na rzecz Węgrów przecie! — przechodzi jako *narodowy bohater serbski* w pieśń ludu serbskiego.

Z czasem zatraca nawet narodowość węgierską, staje się rodowitym Serbem, przybiera nazwisko serbskie i wszystkie cechy charakteru w które lud z nad brzegów Morawy zwykł był swych bohaterów przystrajać.

Dzisiaj *Sibinjanin Janko*, to jeden z najpopularniejszych *herojów* ludowej fantazji i ludowych umiłowań. Hunyady to zimna postać historyczna, oświeconym ludziom tylko wiadoma.

Po odparciu ataków Murada, Belgrad zażywa kilka lat spokoju w których Hunyady pasuje w murach naddunajskiej twierdzy syna swego Macieja na rycerza. Ten Maciej Korwin zasiędzie niebawem na tronie węgierskim i będzie jednym z najpotężniejszych królów korony św. Stefana.

Lecz za jego rządów zdobycie Belgradu stanie się ideą państwową dynastji Osmanów.

Po Muradzie Mahomet II pójdzie na nowe ataki — coraz groźniejsze, coraz bliższe powodzenia.

Aż wreszcie Sulejman II, korzystając z niesnasek powstałych na Węgrzech po śmierci Macieja Korwina, przypuści szturm ostateczny i twierdzę weźmie w swe drapieżne ręce [9]). Krwawe janczary spadną na miasto. Na wieżach zawiśnie Półksiężyc. Kościoły pójdą w meczety.

Turcy są odtąd na długo — z małemi tylko przerwami aż do XIX wieku panami Białego grodu.

Sto sześćdziesiąt siedem lat trwa pierwszy okres ich twardych rządów. (d. c. n.)

Mieczysław Jełowicki.

[5]) Bowiem ówczesne państwo serbskie nie sięgało Belgradu. Mieściło się w t. zw. Starej Serbji, dzisiaj dopiero od Turka odebranej, mając sobie Skoplje (po tur. Usküb) i Nisz za stolicę. Skąd Belgrad odpowiada niejako naszej Warszawie, a Skoplje i Nisz naszej Kruszwicy i Krakowu.

[6]) Od r. 1334 — 1355.

[7]) W r. 1389. [8]) W r. 1440. [9]) W r. 1521.

Ostatki w Monachjum.

(Oryginalna korespondencja „Złotego Rogu“).

Mglisty poranek... Na ulicach resztki niedomiecionych confetti. W przedsionkach, na schodach, na podwórkach — wszędzie pstrzą się różnobarwną mozajką drobne papierki; u okien



Z twierdzy belgradzkiej. Widok części frontowej, patrzącej na przeciwległy brzeg austrjacki. Na pierwszym planie nasyp z czasów tureckich. W głębi daleka sylwetka fortów, usypanych jeszcze przez Hunyady'ego a później wzmocnionych przez turków. Jasna wstęga na lewym brzegu fotografji, to Dunaj, który jednak niewyraźnie na zdjęciu wystąpił. (Specjalne zdjęcie dla „Złotego Rogu“).

balkonów, u szyldów i latarni falują, migając mnogością barw, węże—serpentins.

Zapada zmrok, wieczór się zbliża a z nim chwila szału. Café Leopold... Na estradzie zamaskowana orkiestra. Publiczność spleciona wstęgami serpentine, zasypana warstwami confetti... Wchodzących witają śmiechem, tanim dowcipem, zasypują pianą confetti i związują z całością. Na wszystkich stolikach śród barwnego śmiecia kołyszą się wielkie kufle, na wszystkich twarzach rozigrał się uśmiech chwilowej beztroski. Sala grzmi hałaśliwą melodją jednozgłoskowych okrzyków, homerycznego śmiechu, podśpiewywanych zwrotek restauracyjnej sceny, gwarem i szelestem papieru. Grają do tańca. Pomiędzy stolikami przepychają się pary bez taktu, bez porządku. Młodzież akademicka wiruje ze swemi „szacami“ chwyta w objęcia kelnerki, wrzeszczy i huka...

Löwenbrau. Wielka zabawa, — każdy wejść może... Widać tu ludzi z różnych sfer, tłoczących się w olbrzymiej, ordynarnie dekorowanej sali. Z boku pod filarami zwyczajne stoły, przy nich pijani goście. Pod ścianą zaimprowizowane chambres separées, — w nich czułe dziewczyny obowiązkowo na kolanach mężczyzn całują się i ściskają aż do mdłości... za parę kufli piwa i za parę weisswurstln'ów. Na galerjach uprzywilejowani bursze zajęli przy stolikach miejsca ze swemi „szacami“, Na sali w szybkim tempie roi się mrowisko ludzkie. Grają... Niemcy skaczą, wpadają jedni na drugich, ślizgają się i w szturchańcowem tempie trzęsą się aż do utraty świadomości. Wesołość i pot rozlały się na twarzach i walczą o pierwszeństwo. Zamaskowana i wydekoltowana bezczelnie kelnerka uderza wachlarzem przechodnia i potrąca go ramieniem z ordynarną kokieterją.

Kolacja — tłumy płyną do sal jadalnych. gabinetów, chambres separées. Domina i fraki obsiadają stoły, kryją się w zwojach zieleni i kwiatów. Dźwięczą śmiechy i drgają w powietrzu splątaną gamą, łącząc się z brzękiem kryształów i porcelany; strzela szampan i leje się musującą fontanną do kielichów. Z chaotyczną falą tych dźwięków łączy się harmonja muzyki. Podnosi się nastrój, coraz częściej strzelają korki szampana, coraz więcej śmiechu, coraz więcej namiętności. Ramiona obejmują wiotkie kibicie, usta z pragnieniem wysuwają się ku ustom, muzyka zagłuszyła szepty, namiętność zgwałciła marzenie.

Namiętnie druzgocze się fala śmiechów, namiętnie krąży krew...

Znów taniec... Znów rozlały się dźwięki *valzerträum'u*, ale już nie te melodyjne łechcące... Szałem teraz drgają, skaczą, walczą z falą podniesionych głosów i namiętnych śmiechów. Tłum nie płynie swobodnym miękkim prądem, jeno w wirach rozszalałych unosi się naprzód, zatacza się w obezwładniającym skręcie; fruwają domina, oplatają się wkoło nich fraki...

Automobile i powozy roją się u podjazdu. Nikną w nich mąż z żoną jeno nie swoją, żona z mężem cudzym, młódź pozłacana, zastępy cnotliwych dam... Wszyscy jednem pragnieniem wiedzeni, pod jedną osłoną — maską, która rozgrzesza na prawa zwierzęcia.

Wtorek—to ostatni dzień karnawału, ostatnie święto i panowanie szału. Już od rana widać gorączkowy ruch na ulicach. Przesuwają się maski, ubrane wozy i dążą w kierunku Maximilianstrasse.

Tu nadciąga tłum i drga roznamiętnioną ciżbą. Wszyscy mają ogromne torby confetti. Zaczyna się zabawa żywa, ogólna. W powietrzu fruwają lekkie obłoki drobnych płatków papierowych, zwoje serpentines owijają się wkoło kapeluszy, piór, czapek, szyi, wikłają tłumy.. Żywa pstra tkanina drga, faluje.

Powoli suną automobile. Oto jeden przedstawia smoka: olbrzymia potworna głowa z ziejącą ogniem paszczą, nalane krwią ślepia, potężna kręgowa szyja z ostrym haczastym grzebieniem, wysuniętymi pazurami i zielone kolczaste skrzydła. W pudle samochodu towarzystwo, na schodach arlekini, błazny, u góry Mefistofel. Coraz ciaśniej... już przejść trudno... Płynie olbrzymi statek parowy, kołysząc się, jak na fali. Drgają festony, chorągwie, bucha dym z kominów, załoga rzuca pociski confetti. Jedzie wóz błaznów wesoły, krzykliwy. Menażerja... Ogromna klatka, we środku małpy ruchliwe, rozdrażnione... Powożą: Darwin i Haeckel. Toczy się korab różnych narodów: w poważny turban odziany turek, wesoły francuz, amerykanin, ubrany w kratę, murzyn w białych inexprymablach, Mischel-niemiec z cybuchem w zębach, anglik wysuszony, przez dwie złączone z sobą butelki od piwa lornetuje motłoch. Suną wozy wiosny, lata, jesieni i zimy.



Ostatki w Monachjum. Pierroty i pierrotki.

Rozbawiony wóz cyganerji przedziera się przez hałaśliwe mrowisko: malarze, malarki, rzeźbiarze, poeci — jałowy kwiat niemieckiej sztuki ukazuje się tłumom w przystępnej, zrównanej tradycją postaci.

Akademicy włażą po drabinie do okien, z których wyglądają piękne panny. Wrzask, ścisk i roznamiętniona swawola — Monachjum kończy życie karnawału.

Został już tylko jeden wieczór. W knajpach pulsuje początek końca. Najrojniej u „Luja“. Olbrzymia sala, rzędem marmurowych kolumn podparte sklepienie, ściany pokryte imitacją gobelinów. Tu się zebrało teraz barwne mrowie, aby ostatnim krzykiem zakończyć karnawał. Muzyka gra, nastrój nierówno jeszcze faluje, sypią się chmury confetti, goście odszukują się wza-

sicht... Achtung!.

Śmiech rośnie, kołysze się i drga nierówną falą, spada ku ziemi i słabnie, unosi się w górę i błąka pod sklepieniem. Wybuchają błyskotliwe fontanny odgłosów, nawoływań i spadają przyciszonemi, gasnącemi skrami. Zapalają się ognie nastrojów, gasną i wybuchają znów, coraz silniejsze, coraz ogólniejsze.

Jedenasta... Szał... Wszystko zlało się w jedną olbrzymią, oddychającą piekącem gorącem masę. Kto przyjść nie może, tego niosą, kogo nieść nie mogą, tego prą naprzód. Gorąca lawina zieje namiętnością, wyrywają sobie kobiety, kwiaty, toną w uściskach, drgają obezwładniającym szałem.



Ostatki w Monachjum. Malarze-artyści dążą w kostjumach ulicami miasta.

Dochodzi dwunasta... Kopcą czupryny we mgle wyziewów, chwieją się obezwładnione głowy, rozwiewają się kostjumy... Jeszcze ostatnie drgnienie.

Wszystko wiruje, pali się resztka świadomości...

Dwunasta... Na zgliszczach namiętności niby szał pokuty, żal za minioną godziną.

...Żegnaj, książę karnawału!...

Czyni się ciasne przejście. Tłumy zawisły na krzesłach i stołach. Kroczy galowa orkiestra, gra żałobnego marsza. Wiozą trumnę, w niej spoczywa jedna z najładniejszych kelnerek... Jęk grzmi zgiełkową kaskadą wstrząsających drgań. Orkiestra gra uroczyście, żałobnie, ale z muzyki tej wyrywają się oddźwięki zmysłowego szału ironji, śmiechu leśnych satyrów.

...Żegnaj, książę karnawału...

O sklepienie odbijają się rozpaczliwe jęki i spadają deszczem łez ognistych, drgają nieutulone zszarzałe festony i przez mgłę dymów miga barwny blask elektryczności i liże rozgrzaną powłokę marmuru.

Jakiś przygodny mówca rzuca w tłum skruszonym, nawpół pijanym chrapem:

„Skutki naszych karnawałowych uciech, niestety, ukażą się potem... Czekajcie cierpliwie... Panowie którzy zabrali cnotę dziewczętom, niech ją dziś jeszcze zwrócą, albowiem na przyszły rok znów będzie potrzebna...“

Tłumy wypływają... za nimi falami płynie dym gęsty.

Strawił się człowiek, odegrał tragedję swych zmysłów i zamilkł...

Obraz nędzy, bezwładności... zniszczenia sił...

W czem zabawa była?...

W wybuchu prymitywnych żądz, co wyrzuciły w jednej tradycyjnej chwili z głębin istoty ludzkiej nawałnicę powstrzymywanych cech zwierzęcości; przedarły się przez zewnętrzną zasłonę kultury ducha, która nie dość snadź jeszcze okrzepła, aby stawiać tamę mogła zwierzęcym instynktom.

Popielec... Wszyscy niemcy od wczesnego rana z urzędowemi minami znajdują się na swoich posterunkach.

Mieczysław Jarosławski.

DO CZYTELNIKÓW.

Ochrona dzieci i młodzieży.

Po ohydnej zbrodni morderstwa, dokonanego niedawno przez 14-letniego wyrostka, na osobie również zdeprawowanej młodocianej istoty, p. Walenty Zieliński na łamach *Złotego Rogu* (patrz № 5) w artykule „Wśród bagnisk i mętów”, rzucił publiczne oskarżenie społeczeństwu, że nie dość energicznie i nie dostatecznie roztacza opiekę nad małoletnimi, których przecież trzeba wyrywać z bagnisk zepsucia i celowo, umiejętnie izolować od zgubnych wpływów zdeprawowanego otoczenia. Autor artykułu proponuje więc założenie Tow. Ochrony dzieci i młodzieży, instytucji o charakterze ściśle ratowniczym, którą należałoby powołać do walki z zepsuciem we wszelkich jego przejawach, czyhającem szczególnie na dzieci i młodzież, znajdującą się w środowiskach zgnilizny i zarazy moralnej.

Artykuł ten znalazł szeroki oddźwięk w prasie a dzienniki, jak *Kurjer Warszawski* (№ 40), *Słowo* (№ 40), *Kurjer Polski* (№ 41), *Kurjer Poranny* (№ 43) *Goniec* (№ 71) i inne—nie omieszkały rzuconej inicjatywy poruszyć, nawołując jednocześnie ogół do akcji, w celu urzeczywistnienia dzieła tak doniosłej wagi.

Znakomity nasz poeta, Wiktor Gomulicki, w liście nadesłanym do p. W. Zielińskiego, w serdecznych słowach zagrzewa go do akcji, daje cenne wskazówki i wierzy, że przy pomocy ludzi dobrej woli, tak potrzebna instytucja mogłaby przecież u nas powstać. Oprócz tego nadeszły i nadchodzą jeszcze od wielu osób liczne listy z słowami zachęty.

Otóż, możemy już dziś podzielić się z Czytelnikami wiadomością, że sprawa ta została w tych dniach podjęta przez ludzi dobrej woli, którzy, wspólnie z inicjatorem rozpoczęli już wstępne prace przygotowawcze, niezbędne do przeprowadzenia dzieła, jak nawiązanie odnośnej korespondencji z towarzystwami o podobnym charakterze za granicą, zajęcie się kwestją ułożenia i zatwierdzenia ustawy przez władze i załatwienie wielu innych czynności, związanych z projektowaną instytucją.

Niebawem ogłosimy w doniosłej tej sprawie odpowiednią ankietę, jak również będziemy na łamach „Złotego Rogu“ nietylko powiadamiać Czytelników o przebiegu prac nad powołaniem do życia instytucji, lecz jednocześnie, przez umieszczanie odpowiednich artykułów, zaznajamiać będziemy ogół z doniosłą społeczną kwestją opieki nad dziećmi i wychowania młodzieży.



Zygmunt Badowski.
(Zbiorowa wystawa prac w Tow. Z. S. P.)

Z TOW. ZACHĘTY SZT. PIĘKN.

Wystawa zbiorowa prac Zygmunta Badowskiego.

Zbiorowa wystawa artysty-malarza, Zygmunta Badowskiego, wykazuje umiejętność opanowania wielorakich technik. Z przeglądu całości wydaje się nam, iż ołówek i pastel wypowiada najsubtelniej stosunek artysty do modelu, przyrody, którą podpatruje Badowski z dużą kulturą malarską i erudycją. W olejnych studjach, zwłaszcza w portrecie damy w aksamitnej sukni i w akcie, widać, iż czarno-biały rysunek zwycięża malarską kompozycję. W studjum głowy, w „Pielgrzymach“ i „Widoku dworku“ ujawniają się również dodatnio malarskie walory artysty, który nie uznaje półśrodków i łatwych efekcików, lecz idzie sumienną drogą twórczej pracy artystycznej. Badowski umie malować piękne główki kobiece, zwłaszcza owalny pastel mówi nam, iż nie uronił ani jednego wdzięku czaru młodości portretowanej osoby. Prace ilustratorskie Badowskiego wykazują łatwość koncepcji i dojrzałość techniki umożliwiającej szybką orjentację w temacie. Nieliczne autolitografje zwłaszcza „Madonna“ i portretowe studja stoją na wysokim poziomie artystycznym.

Jedynie szkice, do dużych kompozycji mówią nam, iż ta gałąź sztuki najmniej odpowiada rodzajowi talentu artysty-rysownika. Dziwne, iż jeszcze nawet wybitni nasi artyści uważają kompozycję, za coś, co im muzealną nieśmiertelność zapewnić może. Kompozycję, ową „najwyższą“ klasę, szkoły malarskiej, przeceniają zazwyczaj tylko te jednostki, które hałasem i tupetem chcą przygłuszyć własną ignorancję podstawowych studjów i szkiców.

A p. Badowskiego charakteryzuje przedewszystkiem sumienność artystyczna i dojrzałość techniczna. Jego gałązki irysów, jego piękne świeże kobiece główki, więcej do nas mówią, niźli „malowana muzyka“ Szopena, kompozycje, wyrosłe na specyficznym fałszywo-sentymentalnym gruncie salonów warszawskich.

P. Badowski—to rzetelny talent, który zaznacza się na drodze umiłowanej sztuki—nie rzutami silnymi, lecz wytrwałą i w obranym kierunku celową pracą.

M. Dienstl.



Zygmunt Badowski. (Tow. Z. S. P.) **Głowa Św. Jana.**



Zygmunt Badowski. (Tow. Z. S. P.) **Pielgrzymi.**

Paderewski w Belgji.

(Od specjalnego korespondenta „Złotego Rogu“).

Powodzenie, jakiego znakomity nasz artysta doznał w Brukselli i Leodjum, przechodzi wszystko, co tutejsi bywalcy koncertowi pamiętają. Szczelnie zapełnione doborową publicznością sale na recitalach „króla pianistów“ długo po koncercie rozbrzmiewają oklaskami. Wywoływaniom niema końca. Paderewski, który od dawna nie grał w Belgji, zdobył sobie tutejszą publiczność wstępnym bojem, pozostawiając wrażenie wyjątkowego poety fortepianu. Krytyka tutejsza analizując

grę znakomitego twórcy menueta stwierdza, że Paderewski, jako wirtuoz, łączy w sobie wszystkie zalety, ma wszystkie warunki, podczas gdy inni, choćby najwięksi artyści, nie posiadają ich nigdy — w komplecie. Pozatem krytycy tutejsi specjalnie podkreślają w grze Paderewskiego natchnienie, które sprawia, że artysta nie popisuje się, jak to bywa przeciętnie, lecz stwarza artystyczne, genjalne kreacje tego co gra.

J. K.



Ignacy Paderewski.
(Koncerty w Belgji).

Z muzyki. — Filharmonja.

Piątkowy wielki abonamentowy koncert symfoniczny był przedewszystkiem bardzo ciekawy dla osób szczerze interesujących się muzyką, ze względu na pierwszy raz wykonywaną symfonję Adolfa Gużewskiego, twórcy opery „Dziewica Lodowców". Symfonja ta, nagrodzona na konkursie zeszłorocznym Filharmonji, jest dziełem pięknem, obfitującem w pomysły nowe i oryginalne. Szkoda tylko że autor nie powierzył dyrekcji Birnbaumowi, pod jego batutą bowiem symfonja wywarłaby jeszcze o wiele większe wrażenie. Główną jednak siłą przyciągającą tłumy publiczności był współudział króla skrzypków Kreislera, k t ó r y, wprost bajecznie grał koncert Bethovena z towarzyszeniem orkiestry o r a z Wieniawskiego „Wspomnienie".



Adolf Gużewski.
(Koncert kompozytorski w Filharmonji).

W końcu nadmienić musimy, że na drugi dzień po koncercie, na posiedzeniu komitetu Tow. muzycznego, sędziowie konkursu im. Karłowicza, przyznali nagrodę w kwocie rb. 300 p. Adolfowi Gużewskiemu, za koncert fortepianowy z orkiestrą. *Z.*

Szopka warszawska.

Literaci: Awanti, Cow-boy, L. Choromański, T. Modrzejewski, W. Rzymowski z K. Wroczyńskim napisali utwór satyryczny dla sceny marjonetkowej w 3-ch aktach. W pierwszej części politycznej mówi król-litwak:

„Jam tego miasta król
Tych gmachów, placów, wież,
Dziś już, gdy na mnie gadać chcesz
To wprzódy gębę stul.
Choć niedawnom tu jest,
Lecz już siedzę fajn-fest.
Ja, Herod-Litwak-król,
Jedną za drugą zdobyłem ulicę,
Sklep za sklepem i za kamienicą [kamienicę
Po cichu — sza! bez wrzawe!" —

W akcie drugim stróż warszawski wychwala sobie życie, śpiewając:

„A kto chce rozkoszy użyć,
Ten na stróża idzie służyć,
Ma komorne za darmochę,
Co noc dychów złapie trochę.

Jestem panem, jestem stróżem
Nad komornem, nad podwórzem,
Nieraz się mieć człeku zdarza
Gruby grosz—dla gospodarza!..



Fryderyk Kreisler.
(Król skrzypków).

Trzech dyrektorów teatru Polskiego, Małego i Trianona chłoszczą autorzy szopki słowami.

(O Zalewskim).

Sto lat żyję na świecie,
Jądro sprawy znam przecie.
Sto lat w polskim tyjatrze
Piszę, uczę, gadam, patrzę,
Wiem, jak się rzecz ma cała.

a dalej:

Repertuar, to figa,
Zawsze człek się wymiga,
Ten poradzi, ów poradzi,
Jakaś baba przekład wsadzi.
Grunt aktorki i prasa.

(O Szyfmanie).

Krakowiaczek ci ja, zrodzony [w Krakowie,
Na dzisiejsze czasy mam dość [sprytu w głowie.
Tworzeniem teatrów wsławię się [w Warszawie,
Jeśli ten nie pójdzie, to drugi [postawię i t. d.

a wreszcie:

(O pewnym aktorze).

Choć mi miasto czyni wstręty,
Muszę dojść do grzecznej renty,
Do fortuny pchnie mię praw
Ki, ki-ne-ne-matograf".

Kukielki i dekoracje oraz fronton sceny udatnie wykonali artyści-malarze p. p. E. Bartłomiejczyk, W. Radwan, A. Świdniński i R. Witkowski. Przedstawienia odbywają się w sali techników codziennie z wyjątkiem piątków i cieszą się zasłużonem powodzeniem. *(m. d)*

TEATR „MINIATURE".

Teatr „Miniature", cieszący się powodzeniem, wystawił burleskę z tańcami, napisaną przez tak utalentowanych autorów jak pp. Wład. Jastrzębiec-Zaleski i J. St. Mar. Ten dwuaktowy drobiazg sceniczny ma naprawdę szczery, niewymuszony miły humor, i rozmach zawadjacki, i zręcznie ułożoną muzykę przez p. W. Krupińskiego a postacie wszystkie, rzekłbyś, żywcem wykrajane są z rzeczywistości, jeden może tylko typ Mańki jest przez autorów trochę przesentymentalizowany, ale trudno, dla kontrastów scenicznych i

takie nieprawdopodobieństwo jest czasem potrzebne. Gra aktorów była koncertowa! Czy to Hipolit p. Miłoszy, czy Liza — p. Karro - Wojnowskiej, czy stróż—p. Bratkiewicza, czy pozostałe inne typy, wszystko to mieniło się szczeremi barwami życia na scenie. *Z.*





Juljusz Osterwa. Ludwik Wostrowski.
(Benefis obu artystów w Teatrze Wielkim. „Orlę").

Benefis p. Osterwy i Wostrowskiego.

Benefis szczęśliwego reżysera „Orlątka" p. Wostrowskiego i znakomitego wykonawcy tytułowej roli p. Osterwy, zgromadził wypełniających amfiteatr przyjaciół i wielbicieli talentu dwu sympatycznych artystów, którzy udają się zagranicę, dla poratowania nadwątlonego zdrowia.

Zaaganżowanie warszawskiego kapelmistrza.

Znany warszawski kapelmistrz p. Bronisław Szulc, uprzyjemniający nam niejeden letni wieczór w Dolinie Szwajcarskiej,



Bronisław Szulc,
utalentowany kapelmistrz.

jako dyrektor koncertów symfonicznych, powołany został na stanowisko pierwszego kapelmistrza orkiestry symfonicznej w Rostowie n/D.

Albert Książę Monaco w Warszawie.

Znany uczony i przyrodoznawca, książę panujący małego państewka Monaco, Albert ks. Goyen de Montignon Grimaldi, wracając z polowania w Białowieży, gdzie wśród trofeów swych miał na rozkładzie również i kilka żubrów, zatrzymał się przez parę dni w Warszawie, pragnąc po wielkopańskiej rozrywce poznać nasze urządzenia miejskie w celu stosowania niektórych z nich i w swem małem acz wielkoeuropejskiem państewku. Szczególnie zainteresował się książę stacją filtrów, którą drobiazgowo zwiedzał, dyskutując z towarzyszącymi mu inżynierami.

Prócz tego interesował się książę pamiątkami Warszawy, zwiedzał więc pałace łazienkow-



Albert ks. Monaco,
gość Warszawy.

skie i zamek. Jednem słowem, widoczne było, że nietylko przyjemnie pragnie czas spędzić lecz przedewszystkiem — z korzyścią dla swej wiedzy.

Dzielna straż ogniowa.

Straż ogniowa warszawska należała niegdyś do najlepszych może w całej Europie, dziś jednak, nie rozporządzając tymi funduszami, co straże miast stołecznych zagranicą i nie mając możności nabywania odpowiednich maszyn i narzędzi, samochodów i t. d. utraciła swoje „prestige" z przed lat czter-



Kapitan Hłasko,
dzielny ratownik życia ludzkiego.

dziestu, gdy cwałujące bachmaty były wyrazem aż nadto dostatecznej szybkości, a mało skomplikowane sikawki i inne proste, tanie narzędzia były ostatniem słowem tego co ówczesna technika stworzyć mogła.

Jedno tylko, co straż warszawska posiada najlepszego, bodaj, że w całej Europie—to ludzie. Ci z poświęceniem i bohaterstwem ratują. Niedawno notowaliśmy wypadek, gdy odważny strażak runął z wysokości w płomienie i zmarł po paru dniach strasznych męczarni, dziś mamy do zanotowania bohaterstwo kapitana warszawskstraży, p. Hłaski, który podczas pożaru kamienicy przy ul. Ptasiej, na własnych barkach wyniósł po drabinie sześć osób z płonącego domu. Po tym wysiłku dzielny kapitan zaniemógł, pozostał jednak na stanowisku aż do umiejscowienia pożaru i po kilkodniowej chorobie znów powrócił do zdrowia i pełnienia obowiązków.

Przeniesienie rogatek.

Już od szeregu lat posiadała Warszawa osobliwość nielada!

Posłuchajcie.

Oto idziemy ku rogatkom, a więc zdawałoby się — na krańce miasta...

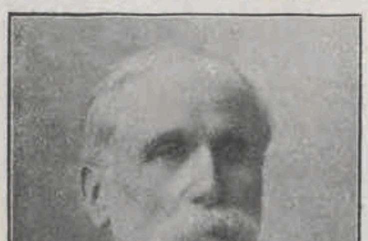


Po 118 latach, z 10 na 11 lutego o g. 12 w nocy stara rogatka wolska przestała istniec Dwa niewielkie domki po obu stronach ulicy mają być obrócone na ochronki.

Doszliśmy już do rogatki, granicy Warszawy. A za rogatką inny gród się rozpościera — i graniczy sobie w najlepsze z naszą starą poczciwą Warszawą... tylko że domy tam jeszcze wyższe i nowsze, choć i niejedną starą 4-ro piętrową kamienicę możnaby też znaleźć.

Dowiadujemy się że to nie żadne miasto, tylko... „wieś“ należąca do takiej to a takiej gminy. Takiemi „wsiami“ żadna zagranica nie mogłaby się poszczycić, tam jakoś odrazu chrzczą to wszystko mianem miasta i miejskie odrazu wprowadzają porządki. U nas przez szeregi lat wyrzucone jest takie miasto poza nawias miasta, tworząc dziwoląg, jakim nie każdy kraj „poszczycić“ się może.

Wreszcie zdecydowano się przenieść sławetne warszawskie rogatki na właściwe krańce miasta, niektóre więc przeniesiono dalej aż o parę wiorst.



Ś. p. Witold Małcużyński,
historyk i znany badacz przeszłości.

Tym sposobem Warszawa obecnie już powiększyła się znacznie kosztem owych „wiosek“ okolicznych.

Lepiej późno niż nigdy.

O 12 w nocy z 10 na 11 lutego otwarto nowe rogatki już na właściwych miejscach postawione.

Ś. p. Witold Małcużyński.

W Swisłoczy w gub. Grodzieńskiej zmarł ś. p. Witold Małcużyński, zasłużony badacz naszej przeszłości.

Po ukończeniu instytutu agronomicznego w Hory - Horkach w gubernji Mohylowskiej (zamkniętego za czasów Murawjewa w roku 1863) został nauczycielem nauk przyrodniczych i fizyki w Swisłoczy. Podczas rządów Murawjewa okoliczności zmuszają go do osiedlenia się na stałe w Warszawie, gdzie otrzymuje posadę w komisji rządowej przychodów i skarbu, na której dosługuje się stanowiska naczelnika jednego z czterech wydziałów. Po otrzymaniu emerytury pełnił obowiązki referenta Starszych Zgromadzenia Kupców m. Warszawy.

Za największą jednak jego zasługę należy uważać prace historyczne z których na czoło wybija się dzieło „Rozwój terytorjalny m. Warszawy“. Pozatem dużo pisał o skarbowości w Rzeczypospolitej polskiej, sporo jednak jego prac pozostało się jeszcze w rękopisie. Prace te, nie wątpimy, że przecież wkrótce ukażą się chyba w druku.

Miecz i dyplomacja.

(Okres niespodzianek. Niemcy uznają przewagę morską Anglji Źródło wojny bałkańskiej. Wrzekome zwycięstwa tureckie Po zamachu w Stambule. Sufrażystki angielskie).

Przeżywamy okres niespodzianek. Niema tygodnia, niema dnia, w którymby telegraf nie przyniósł skądkolwiek jakiejś niespodzianki. A tyle ich, — że przestały już budzić podziw. Po niespodzianem—nie tyle dla polaków ile dla niemców — potępieniu przez parlament niemiecki polityki antypolskiej, — co głównie zawdzięczać należy płomiennym, świetnym przemówieniom posła Morawskiego i socjalisty Wendla—z tegoż samego parlamentu rozbrzmiewa głos, najmniej oczekiwany, a wprawiający świat cały w zdumienie. Przedstawiciele Niemiec oświadczają, że gotowi są uznać przewagę Anglji nad Niemcami w zakresie zbrojnych sił morskich. A nawet oznaczają cyframi możliwość owej przewagi, mającej wyrazić się w stosunku 10 : 16.



Danew, bułgarski mąż stanu, odgrywający najwybitniejszą rolę dyplomatyczną w obecnym prze wrocie bałkańskim.

Oświadczenie to, o ile miałoby znaczenie poważne, — a na to się zanosi — ważyłoby na szali Enropy więcej, niż cała wojna bałkańska, niż jakikolwiek wynik tej wojny.



Poseł Wendel. Poseł Morawski.
(Napiętnowanie wywłaszczenia w parlamencie niemieckim).



Demonstracja w Konstantynopolu przed Wysoką Portą, podczas zamachu na gabinet Kiamila-baszy.



Rozpoczęcie działań wojennych pod Czataldżą.

Wszystko, co się dzieje w polityce wszechświatowej, podporządkowuje się tej pierwszej, najważniejszej, najaktualniejszej kwestji.

Jest i druga: rywalizacja w Europie między światami: germańskim i słowiańskim. Ta jednak toczy się powoli, od lat z górą tysiąca, i długo jeszcze, bardzo długo toczyć się będzie, zanim spór się rozstrzygnie. A rywalizacja Anglji z Niemcami,—to sprawa niedawna i szybko musi być załatwiona.

Myliłby się, ktoby przypuszczał, że tocząca się obecnie wojna bałkańska niewiele ma wspólnego z temi dwoma zasadniczemi sprawami. Przeciwnie. Historja wykaże kiedyś, o czem już dziś głośno się mówi, — że wojnę tę wywołała Anglja, dla podcięcia Niemiec, które zbyt energicznie posuwały się poprzez Turcję ku zawładnięciu zatoki Perskiej a może też oceanu Indyjskiego. Bo nie łudźmy się: ta krew, tak obficie przelewana na polu Kossowem lub na płaszczyźnie Adrjanopolskiej,—leje się przedewszystkiem na kramarski rachunek handlu międzynarodowego.

Nagle wszystko to ma ustać. Źródło wszystkich poważniejszych zatargów politycznych ma być zatamowane. Rzecz tak dziwna i niespodziana, że doprawdy, uwierzyć w nią trudno.

A wieść o tem spada na Europę z inną niespodzianką: z wieściami o zwycięstwach wojsk tureckich nad bułgarami. Tu już niespodzianka jest tak wielka, iż wręcz uwierzyć jej niepodobna. Znaczną też jej część policzyć trzeba na karb bogatej fantazji wschodniej, której turkom nie brak. Bo jakże? Bułgarzy pierwsi zerwali w Londynie rokowania z Turkami. Przecież prezes rządu bułgarskiego, p. Danew, musiał dobrze znać stan swojej ojczyzny, jej siły wojskowe, skoro zdecydował się na krok tak stanowczy i wyjechał z Londynu. Niewątpliwie, liczył on nieco na wewnętrzne wrzenie w Turcji.

Ale stosunki wewnętrzne nie zawsze decydują o powodzeniu zewnętrznem. Przed stu laty Francja, w największem rozprzężeniu wewnętrznem, najświetniejsze odnosiła tryumfy we Włoszech i w Niemczech. Na to więc nie mógł liczyć polityk tak wytrawny, jak Danew.

Gdyby liczył — to chyba przypuścićby należało, że jego zmysł polityczny nie jest więcej rozwinięty od takiegoż zmysłu u „sufrażystek" angielskich. Panie te w ostatnich czasach czynią wszystko co możebne, aby zgubić chyba sprawę równouprawnienia kobiety.

A sprawa ta, bodaj, czy już nie byłaby rozwiązana pomyślnie, gdyby sufrażystki nie chciały przyśpieszać jej gorączkowo, za pomocą różnych gwałtów. O nadanie praw politycznych kobietom, mówiąc grzecznie — nierozumnym, nikt przecież ubiegać się nie będzie. *(h. m.)*



Sufrażystki angielskie cierpliwie czekają przed gmachem parlamentu, na ukończenie posiedzenia i wyjście posłów.



Femina

ELLEN KEY.

Kobieta ta, uchodząca za rewolucjonistkę, której złego wpływu na córki boi się wiele matek, którą w rodzinnym jej kraju, Szwecji, wielu pastorów potępia publicznie z ambony, ma wygląd dobrej ciotki, jakich wiele jest w krajach skandynawskich. Powierzchowność jej jest dokładnem odzwierciadleniem jej charakteru. A dziwaczne niekiedy idee i przekonania powoduje miłość dla ludzi i zaufanie, jakie w nich pokłada.

Osią i celem istnienia jest, według Ellen Key, rodzina. A kto na takich fundamentach opiera swoje życie, ten nie błądzi zbyt długo. W miarę, gdy uspokoiło się trochę oburzenie, wywołane jej pracami, i gdy poznano ją lepiej, przekonano się, że grunt jej myśli bardzo jest głęboki. Posiadała ona dosyć odwagi, by wystąpić jako nowatorka i najpierwsza wyciągnąć umiała z teorji naukowych kodeks moralności praktycznej. Mieszanina śmiałych doktryn i gruntownego rozumowania, głębokiej wiary i bystrej a dokładnej obserwacji rzeczywistości nadaje pracom tej kobiety, o niezwykłej inteligencji i wzniosłej, szlachetnej duszy, szczególny powab i wdzięk nieopisany.

Urodzenie i wykształcenie Ellen Key tłumaczą do pewnego stopnia sprzeczne jej poniekąd upodobania: jej przywiązanie do przeszłości, jej marzenia o piękniejszej przyszłości, jej arystokratyczne nawyknienia i demokratyczne hasła. Ojciec Ellen Key pochodził z arystokratycznej rodziny szkockiej, matka zaś — ze starożytnej szwedzkiej rodziny królewskiej.

Zarówno w rodzinie ojca, jak i w rodzinie matki trafiali się mężowie stanu, wojskowi, sędziowie, wielcy właściciele ziemscy, lecz wcale nie było wśród nich duchownych, co w przeciętnej rodzinie szwedzkiej jest godnym uwagi faktem. Matka Ellen Key odznaczała się wielką inteligencją. Ona to najsamprzód należycie oceniła umysłowość swej córki i pokierowała właściwie jej zdolnościami. Ona to dała do przeczytania 18-letniej Ellen trzy dramaty Ibsena („Peer Gynt“, „Brand“ i „Komedja miłości“), które zasadniczo wpłynęły, zwłaszcza zaś ten ostatni, na ukształtowanie jej umysłu.

Gdy w tym samym czasie mniej więcej, zapragnęła Ellen poświęcić się powieściopisarstwu, odradziła jej matka powyższy kierunek twórczości. — „Nie jesteś stworzona, mówiła, do obserwowania życia innych, zwróć lepiej uwagę na wewnętrzną istotę natury ludzkiej“.

Wychowywała się i wzrastała Ellen Key na wsi, w majątku swoich rodziców, i sprzyjającym warunkom, w jakich upłynęło dzieciństwo i najpierwsze lata jej młodości, zawdzięcza trwałe swe zdrowie i równowagę umysłową.

Wychowanie jej w domu rodziców bardzo było surowe. Ani Ellen, ani jej braciom i siostrom nie wolno było przy stole rozmawiać, ani siadać przy spożywaniu posiłku.

Od roku 1868, młoda Ellen spędzała zimy w Sztokholmie, gdzie ojciec jej obrany został na posła do drugiej izby. Przebywała odtąd siedemnastoletnia Ellen w gronie literatów oraz mężów stanu, z pośród których ojciec jej wyróżniał się inteligencją i siłą moralną. Większość reform zaprojektowanych i gorąco przez niego bronionych, została zrealizowana i weszła w chwili obecnej do składu praw obowiązujących. Gorliwie się tam również zajmowano sprawą oświaty ludowej.

Przyjaciele Emila Key, wiedząc, iż córka dopomaga mu w jego pracach oraz przyjmuje namiętny udział w ich dyskusjach i projektach, powzięli zamiar powierzenia jej kierownictwa wyższej szkoły początkowej dla kobiet, którą postanowili założyć. Udała się więc Ellen do Danji w celu zwiedzenia instytucji tego rodzaju.

A gdy w roku 1880 ojciec jej stracił znaczną część swego majątku, musiała wówczas sama pracować na swoje utrzymanie i poświęciła się nauczaniu kobiet z ludu, dla których zorganizowała specjalne kursy. Z początku pociągała słuchaczki wrodzona jej dobroć, następnie zaś zaczęły się roznamiętniać do poruszanych przez nią tematów. Cel jej życia polegał (według własnych jej słów), na *uszlachetnianiu i doskonaleniu dusz.*

Wspaniały dar wymowy Ellen Key ujawnił się wkrótce w całej pełni, gdyż zaproponowano jej odczyty w tylko co założonym instutucie dla

robotników. Początkowo miała ona zaledwie 25-ciu słuchaczów, z czasem jednak liczba ich wzrosła do pięciuset, aż w końcu sala nie mogła pomieścić wszystkich. Można zresztą nabrać jakiego takiego wyobrażenia o znakomitej wymowie Ellen Key, czytając jej książki. Życie jej, w ciągu ostatnich lat dwudziestu, to jest do niedawnej chwili kiedy porzuciła nauczanie, wypełniała praca i wnikanie w siebie. Po śmierci rodziców przeniosła się Ellen Key do Sztokholmu, a wszystkie czyny jej i postępki pozostawały w zgodzie z następującemi, przez nią samą wypowiedzianemi słowami: „Kobieta posiadać winna nie tylko wiarę gorącą, lecz i nieskazitelne sumienie, ażeby potępiać uprzedzenia i przesądy, tak drogie niekiedy dla społeczeństwa, w którem żyje".

Opozycja, jaką wywołały przekonania jej oraz idee, skłoniła Ellen do jaśniejszego i dokładniejszego wypowiedzenia się, czego nie mogła uskutecznić w swoich odczytach. Ogłosiła przeto drukiem dwie pierwsze swoje broszury pod następującym tytułem: „Na czem polega reakcja oraz swoboda słowa i prasy" [1]). Dwa te niewielkie tomy, które, z powodu 60-letniej rocznicy urodzin autorki, pojawiły się już w drugiem wydaniu, są w chwili obecnej tak samo aktualne i tak samo zajmujące, jak w r. 1889, kiedy wyszły z pod pióra Ellen Key.

Jednocześnie z drugą edycją powyższej broszury, ogłoszono drugiem „Ruch feministyczny" tejże autorki.

Ponieważ serdeczna przyjaźń łączyła Ellen z Zofją Kowalewską, Ernst Ahlgren i Karoliną Leffler, przeto, gdy po ich śmierci zarówno życie, jak idee ich i przekonania, stały się przedmiotem powszechnego potępienia, śmiało stanęła w ich obronie, tych trzech reprezentantek kierunku realnego w Szwecji, wygłaszając w tym celu cały szereg odczytów oraz pisząc biografję Ernst Ahlgren i Karoliny Leffler [2]).

W czasie lata r. 1895 brat jej i bratowa udali się w dłuższą podróż, powierzając opiece Ellen swoje dzieci.

Lato spędzone z siostrzeńcami, doprowadziło Ellen do przeświadczenia, że właściwem przeznaczeniem i zadaniem kobiety jest wychowywanie dzieci i zajmowanie się domem. Zasady powyższe sformułowała w szeregu odczytów, które następnie ogłosiła drukiem pod tytułem: „Źle skierowane siły kobiece". Powstało ogólne oburzenie. Z jednej strony zarzucano autorce, że porusza przedmiot, o jakim nie wypada mówić kobiecie, zwłaszcza niezamężnej. Zwolenniczki zaś ruchu kobiecego zarzucały autorce, iż sprzeniewierzyła się najwznioślejszym swym hasłom, w imię jakich walczyła dotychczas. Kobiety, stojące na czele ruchu kobiecego w Szwecji, a za ich przykładem wiele młodych dziewcząt wpadło w przesadę, dążąc do objęcia wszystkich dotychczas tylko przez mężczyzn zajmowanych stanowisk. Większość ich odrzucała miłość, wyrzekała się małżeństwa, nie chcąc zrozumieć, że nawet jeżeli praca poza domem jest często koniecznością ekonomiczną, to nie jest dla nich niezbędnym warunkiem szczęścia, że bardzo wskutek tego cierpi wychowanie ich dzieci, a więc praca taka nie przynosi społeczeństwu korzyści, lecz przeciwnie — szkodę. Dzięki Ellen Key zapanowała wśród jej rodaczek pod tym względem reakcja. Pod jej wpływem wiele młodych dziewcząt pracowało na swe utrzymanie, wychowując dzieci, pielęgnując chorych lub obejmując zarząd domu.

W owym to czasie pojawiły się również jej „Zarysy życia" (3 tomy), „Obrazy idealne", „Stulecie dziecka", „Rachela", „Varnhagen"; lecz nie pisała ona nigdy w celach zarobkowych, i aż do roku 1903 oddawała się pracy pedagogicznej.

Czytając dużo, studjowała dwuch tylko filozofów: Spencera i Spinozę. Po śmierci rodziców, w czasie tych szarych dni i krwawych godzin, kiedy wszystkie węzły, łączące ją z życiem zdawały się być zerwane, gdy wkoło siebie odczuwała pustkę i smutek, brała się wówczas do studjowania „Etyki". Całe życie była Ellen Key optymistką; sprawiało jej radość samo życie, świeże powietrze, ktorem oddychała, piękne krajobrazy, towarzystwo przyjaciół... Sądziła ludzi lepiej, niż na to zasługiwali. Pomimo to jednak znała otchłań cierpienia, samotność, opuszczenie i rozpacz. I w jej utworach znajdujemy radość i cierpienie, hymn na cześć życia i oburzenie na to, co pospolite, nizkie i podłe...

E. Żypowska.

[1]) Broszury powyższe wydane zostały z powodu ukarania za słowne przestępstwo czterech młodzieńców.

[2]) Ellen Key, Zofja Kowalewska, Ernst Ahlgren i Karolina Leffler reprezentowały kierunek realistyczny, panujący w Szwecji między 1880—1890 r.

FAŁSZYWA ELEGANCJA.

Jeżeli we wszystkiem co nas w życiu otacza, co się składa na zewnętrzną całość naszego istnienia, estetyka czyli poczucie piękna powinno zajmować pierwszorzędne miejsce, to już w ubraniu naszem, w powłoce którą przyodziewamy nasze postacie, czyli w najbliższem naszem obramowaniu, poczucie piękna i harmonii staje się nieodzowną koniecznością i jest następstwem kultury, jaką obdarzyła nas cywilizacja. Kultura tworzy „modę"—a „moda" *Elegancję*. Otóż ta ostatnia w całym swym olbrzymim repertuarze, dzieli się na setki kategorji i niezliczonych odmian, zależnych, oczywiście od poszczególnych warunków danych osobistości, od ich pozycji—budżetu i t. d. To co dla jednych jest elegancją—byłoby dla drugich jakiem skromnem odzieniem — i dlatego właśnie każda klasa społeczna a w ślad za nią idący tualetowy budżet, powinien—musi mieć swoją własną ściśle określoną elegancję...

Weźmy parę przykładów najbardziej rzucających się w oczy:

Jak ładnie i miło wyglądać może zręczna pokojówka, ubrana przy święcie w ciemną wełnianą sukienkę, przyzwoicie gładziuchno zrobioną, w białym świeżym kołnierzyku, w niewielkim bardzo skromnym kapeluszu, porządnie obuta, w całych rękawiczkach z ciemną parasolką. W jej zakresie ubranie *takie* będzie zupełną *właściwą elegancją*. Ta sama osoba — modelująca się fałszywie na *paniach*, tworzy z siebie coś groteskowego, okropnego, staje się wstrętnym okazem *fałszywej elegancji*. Głowa wyrurkowana co przy niestarannie utrzymanych włosach jest niemożliwe, lakierowane półbuciki z żółtemi mosiężnemi klamrami, na bardzo wysokich *powykrzywianych* obcasach, do tego ordynarna gruba pończocha — suknia wązka z tiuniką, kapelusz z dużą *fantazją*, białe brudnawe trykotowe rękawiczki i jasna wygnieciona, obszyta gipiurą parasolka... „Panna Marjanna" idzie z *narzeczonym* na spacer.

Przykład drugi:

Żona bardzo skromnie uposażonego urzędnika, marzy o elegancji, którą chce zdobyć wysiłkami zatruwającymi jej życie. Słyszała że kostjumy aksamitne są bardzo „modne", kupuje więc welwet w najgorszym gatunku, oddaje do lichej krawcowej, wybiera, jak obecnie, fason najwęższy, najkrótszy, który oczywiście wygląda strasznie — każe przybierać masą guzików, obszywa rękawy jakąś marną koronką, zakłada olbrzymi kilkanaście razy prany, sztywny żabot — wielki kłopot ma z trzewikami, które muszą mieć, choć dobrze brudnawe, często prane benzyną, pożółkłe ale *białe* kamasze, kapelusz musi zakrywać część twarzy, a szczytem marzeń jest strusie pióro, rękawiczki trykotowe, woalka w arabeski ale dobrze podniszczona — a wszystko razem świeci brakiem estetyki i gustu, jest *fałszywą elegancją*.

Gdyby ta ofiara „mody", zrezygnowała z pseudo aksamitu, z pseudo białych kamaszy, nadzwyczajnych kapeluszy, woalek, guzików, żabotów it.d. a ubrała się bardzo skromniutko, ale przyzwoicie, mogłaby w *zakresie swoim*, być zupełnie elegancką.

Elegancja osobista, taka jak ją pojmują i praktykują ludzie z estetycznym gustem i znacznymi pieniędzmi, nie jest tak łatwą do osiągnięcia jakby się wydawać mogło. Tego się trzeba nauczyć, mając już ku temu wrodzone zdolności — sam pieniądz bez odpowiedniej kultury, traci tu swą władzę. Elegancja



Fałszywa elegancja.

nabywana pospiesznie, wybuchowo, owa kupowana za pieniądze, prędzej czy później zdradzi się jakimś brakiem, zgrzytnie dysonansem, zatraci harmonję. Raz jeszcze powtarzam, że niema prawdziwej, rdzennej elegancji, bez wysokiej estetycznej kultury, opartej na wrodzonym guście, i dla tego właśnie przyjmuje się ona nie na każdym gruncie, i nie dla wszystkich jest dostępna. Ileż to razy widzimy bardzo wytworną damę, lśniącą od jedwabi aksamitów i brylantów, a bystre wyszkolone oko estetycznego znawcy, dostrzeże w tej całości braki,—a choćby brak jeden, zaznaczony jakimś rażącym szczegółem, wyłaniającym się z pod praw *prawdziwej elegancji* a zatrącającym *elegancją fałszywą*.

Prawdziwa elegancja wymaga zupełnej całości, pełnego zespołu pojedyńczych części toalety. I tak: strojny, dobrze zrobiony pierwszorzędny kostjum, straci swój szyk, skoro na osobie towarzyszyć mu będą drugorzędne buciki, lub tanim kosztem nabyty kapelusz.

Elegancja zaczyna się od koszulki, gorsetu, trykotów, pończoch i podwiązek, a kończy się na gustownej opasce w starannie uczesanych włosach — pominięcie choćby jednego detalu, jakiś z nim kompromis, wywołuje dysonans, psujący tę śliczną harmonję.

Prawdziwie elegancka pani zwraca baczną uwagę i na dodatki tualetowe, noszone przy sobie, przy wytwornem ubraniu, trzeba mieć piękny *réticule* (ręczną torebkę), ładną portmonetkę, chusteczkę, pudełeczko do pudrów it.d. Dużą rolę odgrywa parasolka do tualety zastosowana—lub parasol, koniecznie jedwabny, z ładną, gustowną rączką. Są to szczegóły drobne na pozór—ale niezbędne w tym celu. Oczywiście, jest tu mowa wyłącznie o paniach, którym przyzwyczajenia, poparte możnością materjalną, otwierają drogę *prawdziwej elegancji*, dla szerszego ogółu kobiet nie mogących sobie na to wszystko pozwolić droga ta—bardzo wyznaję kosztowna — jest i musi pozostać zamkniętą. Nie można zdobywać jej w trudzie, bo to zawsze chybia celu i wyprowadza na nieestetyczne manowce *fałszywej elegancji*, której nadewszystko unikać należy. Można się ubrać tanio, skromniutko, czysto i starannie, nie marząc o szczytach, dostępnych tylko dla wybranek losu.

Widziałam w ubiegłym karnawale na prywatnem większem zebraniu młodą osobę, której cała postać mogła służyć za szablon tej właśnie tak bardzo niemiłej i nieznośnej *elegancji fałszywej*. Zaczynam od nóg, dosyć zgrabnych ale... obutych w ażurowe grubawe ciemno różowe pończochy i w białe *dymowe* pantofle, z wielkiemi klamrami. Suknia

pseudo-modnym obcisłym krojem, z jakąś nieudaną draperją z atłasu wiśniowego, z wielką, w stylu japońskim zieloną szarfą, przypiętą na środku pleców *à la „Gejsza"* na szyi olbrzymie białe perły z brylantami (marna imitacja), rękawiczki o wiele za krótkie, *paliowe*, wachlarz z piór strusich oprawnych w imitację kości słoniowej, na głowie jakiś galonik. Całość więcej jak brzydka, bo wysoce pretensjonalna. Czyż nie ładniej, nie lepiej byłoby tak młodej osobie przywdziać białą, z cienkiego muślinu sukienkę, leciuchno zrobioną, przepasaną skromną wstążką z małą u boku kokardką, parę świeżych róż przy uczesaniu. Wszystko to złożyło by się na ładną i elegancką całość!...

Raz jeszcze powtarzam: *wyższa elegancja* musi objawić się w każdym calu, w każdym szczególe — od stóp do głowy, albo trzeba się bez niej obejść—ale obrażać jej — nie wolno...

Marcète.

Wybryki mody.

(Futro królewskie).

Jeżeli w najdrobniejszych szczegółach tualetowych moda obecna znalazła pole do przejawów olbrzymiego zbytku—to w samym już przez się luksusowym dziale futer—zbytek ten doszedł do wszelkich granic możliwości a nawet granice te przekroczył na całej linji. I stała się rzecz szczególna: W miarę zapotrzebowania futer podnosiły się ich ceny, a w miarę podnoszenia cen rosły zapotrzebowania, i tak trwa to ciągle, w coraz to szybszem, wybitniejszem tempie.

Od lat paru, moda upodobała sobie jedno z bardzo kosztownych futer—to jest—gronostaje To maleńkie—wielkości sporego szczura zwierzątko—o białem, lśniącem, przepięknem futerku, zostało skazane kaprysem mody na śmierć—i to krociami tuzinów. Z początku gronostaje ubierały inne futra, służyły za ozdobę—za przystrojenie—jakiś kołnierzyk, mufeczka, obramowanie — i już było ładnie — ale to wkrótce nie wystarczało wymaganiom mody — rozmiary gronostajowych przybrań rosły bezustannie, i dziś doszło do



Płaszcz teatralny z gronostai.

tego, że z tych maleńkich stworzeń zszywają całe błamy i na wzór płaszczy królewskich kładą je na ramiona!... Faktem jest że w stolicy świata mody i zbytku to jest w Paryżu, noszą dziś całe suknie gronostajowe—całe okrycia — całe płaszcze. Że to kosztuje... majątki — to tam nikogo nie obchodzi — Moda — owa miljonowa pani, nie zwraca na takie szczegóły uwagi—tak jest ładnie — to wystarcza. Ale że wszystko musi ulegać pewnym zmianom—wyglądać inaczej jak dawniej, być *modern-style*, zmieniono i wygląd gronostai. Owe czarne z białem ogonki, nie są już, jak kiedyś, wszywane w futro lecz używane jako zakończenie — jako frendzelka, pozostawiając gronostaj prese białym, co jest oczywiście o wiele naturalniej.

Z powodu niezmiernej swej miękkości gronostajowe futro przepięknie się układa. Bardzo szeroka i długa etola z prese białych gronostai, podbita różową, wymarszczoną krepą—i takaż wielka mufka — to strój wspaniały—dla wybranek fortuny. Cały płaszcz gronostajowy w przepięknem wykończeniu — to strój królewski — co wcale nie znaczy, że noszą go tylko... królowe—jak dawniej. — Taką królową w gronostajowym płaszczu może być dzisiaj każda kobieta, posiadająca odpowiednią do nabycia go sumę—a bardzo często się zdarza, że takiej wy-



Szal z gronostai.

gronostajowanej damie, wcale o takim płaszczu przy kołysce nie śpiewano!...

Marcèle.

Rady i wskazówki.

Prenumeratorowi A. M. W. M. Sądząc z listu W.Pana ręce są odziębione, co powoduje silne czerwienienie. Radzimy przeprowadzić następującą kurację: Stale myć ręce w dobrze ciepłej wodzie mydłem przetłuszczonem, na noc, po umyciu, nie dosuszając zupełnie, natrzeć kremem „Pâte nature" i włożyć bardzo luźne rękawiczki zamszowe. Chronić ręce od zziębnięcia t. j. utrzymywać w ciepłej temperaturze. Tak postępując przez dłuższy czas, zaczerwienienie przejdzie. Prosimy o łaskawe powiadomienie co do skutków kuracji. Mydło przetłuszczone i krem prześle W. Panu, za zaliczeniem pocztowem, laboratorjum M. Malinowskiego w Warszawie.



NIEDOLA.

Liczba robotników pozbawionych pracy w Łodzi rośnie gwałtownie z dniem każdym. Już dziś nietylko fabryki średnie i małe, ale także wielkie, stojące na czele przemysłu włóknistego, zmniejszają liczbę robotników, skracając godziny i dni pracy, lub wreszcie zniżają zarobki.

Tymczasem środki, zbierane przez komitet obywatelski, nie mogą zaspokoić nawet drobnej części potrzeb naglących, pomimo, że nawoływania do ofiarności ciągle się pojawiają, i to coraz energiczniej.

Robotnicy nareszcie postanowili także samodzielnie rozwinąć akcję ratunkową i w tym celu wyjednali pozwolenie na zebranie. Nie byli to przedstawiciele ogółu robotników, ale tylko ich cząstka — około 200. Niedola, która rozpostarła swoje skrzydła nad tysiącami głodnych i pracujących w warunkach ciężkich, musiała wycisnąć swe piętno na duszy zbiorowej, która wypowiedziała się z goryczą. Niektórzy podkreślili nawet rolę upakarzającą robotników, biorących zapomogę z ofiarności publicznej i dlatego właśnie poruszono szereg spraw takich, które stanowią głębokie podłoże położenia obecnego. Zwracano więc uwagę na potrzebę reform prawodawczych, na konieczność ubezpieczania robotników od bezrobocia oraz — stworzenia robót publicznych na koszt państwa i miasta.

Dalej zwracano uwagę na to, że w fabrykach pracuje po kilku członków jednej rodziny, skutkiem czego jedni, wnosząc do domu zbiorowe zarobki, mają dostateczne środki bytu, gdy tymczasem inni, nawet nie pozbawieni pracy, przymierają głodem. To też należy dążyć do zniesienia tego systemu, korzystnego dla fabrykantów i jednostek z pośród robotników, ale bardzo niekorzystnego dla mas robotniczych.

Co do samej pomocy doraźnej w ciężkiem położeniu obecnem, przedewszystkiem powinna ona pochodzić nie z ofiarności publicznej, lecz od samych fabrykantów, którzy powinni się poczuwać do stworzenia takiej akcji.

Zebrani uznali za konieczne stworzenie komitetu ratunkowego robotniczego, gdyż tylko taki może dotrzeć do wszystkich źródeł nędzy. Taki komitet, złożony z 15-tu osób, mógłby pracować wespół z komitetem obywatelskim, który gromadziłby fundusze — robotniczy rozdawałby je.

Komitetu takiego zebranie jednak nie mogło powołać do życia, gdyż nie było do tego upravomocnione, przytem zebrani nie reprezentowali wszystkich robotników. Dlatego też postanowiono zwołać drugie zebranie z delegatami robotników od wszystkich fabryk łódzkich. Tymczasem zaś wybrano komisję, która się zajmuje wyjednaniem pozwolenia władz na utworzenie komitetu robotniczego i zwołanie następnego zebrania organizacyjnego.

Wszystko to są sprawy niezmiernie ważne i niezbędne do wprowadzenia w czyn; ale nie są wystarczające. Nędza nie czeka na żadne organizacje i nie powinna dawać pola do walk klasowych tam, gdzie chodzi o akcję ratunkową. Na tej drodze robotnicy powinni iść zgodnie z komitetem obywatelskim. Wielka szkoda, że do tego komitetu odrazu nie weszli przedstawiciele robotników.

Trzeba mieć na względzie to jeszcze, że obecne ciężkie położenie przemysłu nie jest krótkotrwałe, a zapowiada się ono na długo, może nawet na bardzo długo. Na dzisiejszy stan rzeczy już się składało kilka lat. Nieurodzaj w Rosji, lekkie zimy, które spowodowały ograniczenie zapotrzebowania towarów ciepłych, następnie niepowodzenia ekonomiczne, wywołujące szereg bankructw w Rosji, obciążających przemysł i handel łódzki, niesłychana, niebywała dotąd moc protestów i wreszcie liczne bankructwa w Łodzi, wszystko to musiało wywołać ciężki stan obecny. Przytem zastępy robotników bez pracy w znacznym stopniu wynikają jeszcze z innych przyczyn. Fabryki łódzkie w przemyśle włóknistym mają swoje okresy pracy natężonej i wtedy właśnie zciągają znaczną liczbę robotników. Co się z nimi stanie później — mniejsza o to.

W wykazach statystycznych pod rubryką robotników, widzimy w fabrykach poszczególnych bardzo znaczne wahanie liczby, nieraz dochodzące do 30 — 40%, co świadczy wymownie o tych stosunkach. Taki stan rzeczy musi zawsze wywoływać niepewności położenia robotników, bo żaden z nich nie może przewidzieć, kiedy się stanie zbytecznym. Na usunięcie jednak takich warunków niema żadnego sposobu. Robotnicy w swoich desideratach stawiali takie żądania, ażeby produkcję rozkładano równomiernie na wszystkie sezony. Jest to jednak pod względem technicznym rzecz niewykonalna. Wprowadziłaby ona przewrót w bardzo skomplikowanej sieci interesów ekonomicznych. Zawsze więc pewnej liczbie robotników będzie groziło pozbawienie zarobków, nawet w chwilach względnie pomyślnych dla przemysłu.

Należałoby więc obmyślić jakieś inne sposoby, któreby zabezpieczały robotników łódzkich od przymusowego bezrobocia. Roboty miejskie, roboty na koszt państwa, ubezpieczenie od bez-

robocia, to — powiedzmy szczerze — kwestja dalekiej przyszłości. Trzeba więc znaleźć jakieś ujście w kraju, w dalszych okolicach, dla tych, którzy padli ofiarą bądź przesilenia, bądź też systemu pracy, polegającej na wzmożonej produkcji w pewnych porach roku.

Już gdzieindziej rzuciliśmy myśl zużytkowania tych sił w przemyśle rolnym i uważamy za pożyteczne myśl tę jaknajszerzej popularyzować.

W roku zeszłym rolnictwo nasze było w fatalnem położeniu z powodu braku rąk roboczych. Taki stan rzeczy trwa właściwie już od szeregu lat i z rokiem każdym się pogarsza. Wieś wyludnia się na korzyść ognisk fabrycznych a jednocześnie z rokiem każdym wzrasta wychodźtwo zarobkowe. W ostatnich czasach liczba wychodźców, idących na zarobki, przeważnie do Niemiec, dosięga olbrzymiej sumy 300,000 ludzi podczas sezonowych robót polnych. Jednocześnie w kraju rozwija się pośrednictwo prywatne pod postacią wyzysku i spekulacji. Pośrednicy tacy dostarczają rolnikom robotników, licząc sobie po rublu od głowy, a czasem nawet więcej, przyczem rolnik niema żadnej rękojmi, czy tą drogą dostarczony robotnik posiada jakiekolwiek zdolności do pracy na roli. Wyzysk pośredników prywatnych ma bardzo przyjazne pole do rozwoju jeszcze dla tego, że nie możemy dotychczas się zdobyć na szeroką organizację pośrednictwa, postawionego na podstawach społecznych.

Już dziś są pewne wskazówki, że w roku bieżącym wychodźtwo zarobkowe przybierze olbrzymie rozmiary. Tymczasem nikt dotychczas nie pomyślał, czyby się nie dało tych tysięcy robotników fabrycznych, pozbawionych pracy w Łodzi, pchnąć na rolę. Prawda, że robotnik, raz już zaprawiwszy się do życia fabrycznego niechętnie wraca na rolę. Ale chyba każdy z nich będzie wolał wracać do pracy na wieś, niż znosić nędzę bez pracy w mieście. Nie ulega wątpliwości, iż robotnicy fabryczni mają większe zarobki, niż rolni, są więcej samodzielni, korzystają w pewnych razach ze swej siły gromadnej, a przynajmniej z jej poczucia. Ale przemysł fabryczny łatwiej ściera energję i siły robotnika niż rolny, przytem kapitalizm wielkofabryczny umie skuteczniej miażdżyć nawet znaczne rzesze robotnicze.

W rolnictwie zaś w ostatnich latach warunki pracy zarobkowej zmieniły się na lepsze. Od lat ośmu rolnicy nasi zwrócili baczniejszą uwagę na potrzeby robotników rolnych. W miarę zaś wzmagania się wychodźtwa zarobkowego zaczęto coraz bardziej mówić o konieczności dania robotnikom polskim takich warunków w kraju, ażeby mogły one odpowiadać skali zarobków zagranicą. Jest to całkiem logiczne traktowanie sprawy, gdyż rolnicy nasi przekonali nas dostatecznie, że podniesienie skali zarobków i wogóle koszty, połączone z naprawą warunków bytu robotników wiejskich, są niczem wobec strat, wynikających z braku rąk do pracy.

Ale nawet przy dobrej woli robotników są inne przeszkody jak np. brak organizacji pośrednictwa, któreby wskazywało, gdzie jest nadmiar ludzi bez pracy.

Dziś już cały kraj wie o takim nadmiarze w Łodzi.

Otóż jednem z najpilniejszych zadań Centralnego Towarzystwa Rolniczego powinno być porozumienie się z robotnikami w całym kraju t. j. zebranie odpowiednich danych co do liczby potrzebnych robotników na sezon nadchodzący, oraz co do warunków w poszczególnych komisjach a następnie — wejście w porozumienie z komitetem robotniczym w Łodzi oraz miejscowem biurem pośrednictwa.

Wszakże cały przemysł łódzki jest wsparty na sile roboczej ludu polskiego, ludu pochodzącego z wsi rdzennej. Pośród rzesz robotniczych łódzkich przeważający jest procent takich, którzy jeszcze niedawno oderwali się od roli, którzy skutkiem działów, rozdrobnienia gruntów, pociągnęli do ogniska wielkofabrycznego. Ludzie ci niewątpliwie jeszcze nie stracili zdolności do pracy rolnej a pośród nich napewno znaczna liczba jest takich, którzy więcej mieli do czynienia z pługiem i kosą niż z krosnem i wrzecionem.

Należy więc niezwłocznie rozwinąć akcję, usilną: werbować robotników łódzkich do roli.

Obecny komitet ratunkowy w Łodzi musi być wielce poruszonym w tej sprawie, gdyż może on zastąpić pod względem wywiadowczym najlepiej zorganizowane biuro pośrednictwa pracy.

W ten sposób, z pożytkiem dla kraju i rzesz robotniczych można zmniejszyć niedolę.

Zenon Pietkiewicz.

„Poczucie piękna" w Łodzi.

Łódź i—poczucie piękna! Czy można pogodzić te dwa pojęcia tak całkiem odrębne, tak nawet wrogie dla siebie?!.. A jednak grono śmiałków, gorzej nawet—zuchwalców postanowiło opanować ten żywioł wrogi dla wszelkiego piękna: postanowiło założyć „Kółko artystyczno-literackie", którego zadaniem ma być popularyzowanie wszelkiego rodzaju piękna, tam, gdzie jest grunt najbardziej jałowy, najsurowszy do jego przyjęcia.

Zadaniem tego kółka mają być przedewszystkiem: odczyty, ilustrowane w miarę potrzeby i możności obrazami świetlnymi. W programie projektowanych odczytów między innymi są także odczyty o zabytkach architektonicznych Pabjanic i Zgierza, o godnych uwagi gmachach łódzkich i t. d. Wogóle kółko to ma śród szerszego ogółu budzić poczucia estetyczne, popularyzować style i t. d.

Jeżeli tym śmiałkom uda się wprowadzić w życie ich piękny i bogaty program, jeżeli ziarna idei rzucone na grunt jałowy zaczną naprawdę kiełkować, to może z czasem będziemy mieli mniej domów wznoszonych w Łodzi z pogwałceniem elementarnych zasad wszelkiej estetyki, gmachów ciężkich, brutalnych, surowych, b o g a t y c h lecz odrażających pod względem architektury, jak bywa odrażający bogaty strój ludzi dorobkiewiczów, którzy sami nie mają w sobie odrobiny poczucia piękna.

Życzymy więc powodzenia kółku artystyczno-literackiemu, a przedewszystkiem życzymy mu zdobycia podstaw realnych do istnienia.

LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

MARJA RODZIEWICZÓWNA.

7)

Czarny chleb.

Jak zasieli ludzie i ja wyjechał w pole ze ziarnem. Przybiegła matka, opasała mnie siewną płachtą, nasypała zboża, zdjąłem kapelusz — stanęli my na pierwszym zagonie, zmówili Ojczenasz, pobłogosławili, wspomnieli nieboszczyka i poszedłem w bruzdę.

A serce to się tak tłukło we mnie, jak ptaszek jak do chaty z przypadku wleci. Matka została na miedzy, i patrzy i uważa, i sąsiedzi się też przyglądali ze swoich zagonów. A mnie gorącość do oczu biła, i tak się staram jak ojciec uczył garść ziarna zaczerpnąć, ile zdzierżę, i szeroko, równo ziemię obdzielić, a po czerstwej roli żyto chrząści jak to kadzidło, co na węgle cisną.

A choć i krok i garść nie duża była — zeszło zboże równiutko — w samą miarę.

Oczami ja każdy kieł pasł, zda się ździebełko każde znał — a wedle obyczaju słomy krzynę ze święconego wianka na skraju swego sznura usłał — żeby Pan Bóg — jak stanie błogosławić runie — miał pod stopy czysto i miękko.

To — co zabiegnę na zagony — patrzę. czy niema znaku Boskich stopów — na słomie: i zda się je widział. A jesienią mrozu wyglądałem, żeby nie wyprzało, a zimą śniegu pierzyny — by nie zmarzło, i ledwie wiosny doczekał, by zobaczyć: czy żyje, czy rusza w górę, czy mu nie za mokro, czy wiater nie za chłodny. A potem każdej chmury prosił, by go nie zwaliła za mocno, by nie zbiła gradem—a jak okwitło i dojrzało — szkodowałem jak mąż żony brzemiennej!

Aż matka, bywało, z oczu mi czyta niespokój — i swarzy: Co ty taki truśliwy, za chmurami ino głową kręcisz. Co Bóg da ludziom — to i nam.

Alem ja dopiero odetchnął, jak kopy pod dach schował — a snopy były takie ciężkie, że widły podnosząc, krzyżów odgiąć ledwie, ledwie. No, bo i co mnie było: trzynaście roków — i sam jeden chłop — w chacie. I pola zrobić -- i chudoby dopatrzeć a z gminy gonili na stójki — na szarwarki, na wszelką powinność. Do dworu też odrobki były — nie tyle co teraz — bo wtedy stary pan sam rządził — każdego we wsi znał — i nie dużo liczył i za paszę letnią — i za gałęzie na opał zimą. Świeć Panie nad jego duszą — ojciec był!

Ale nawet matka choć stroga była szkodowała mnie w gorący czas — i jakiem pierwsze zboże na chleb omłócił — powiada: na wiatrak zawieź!

Ale mnie i miarki z niego szkoda było oddać — wysypałem w żarna — stałem mleć choć ze zmęczenia trzęsły się ręce i palce odpadały od mlona. I tak doprowadziłem ten mój pierwszy sierocy chleb od nasienia— do dzieży. I takiego smaku jak w nim — to potem tylko jeszcze dwa razy na życie— smakowałem!

Chłop przestał, zdziwiony nieruchomością obcego. Oparty o ścianę z przymkniętemi oczami — zasnął może — po męce tych dni, a może osłabł.

Ogieniek dawno wygasł na skraju pieca. chłop przyłożył parę szczapek.

— Możeby pan już spoczął! — rzekł z cicha.

Wtedy się gość ocknął — spojrzał na płomień.

— Ja spoczywam. Tak mi dobrze. Powiedz dalej więcej — o tym chlebie.

— To niech pan dozwoli — lulkę zapalić. Z łaski pańskiej — tytoń jest.

— Pal, bracie i gadaj.

(d. c. n.)

TADEUSZ JAROSZYŃSKI.

4) ———

BOHATER.

POWIEŚĆ.

— Cóż to Marcinie?

— Pannusiu, źle.

— Cóż się stało?

— Mówiłem, nie dobry dziś dzień. Od rana me złe kusi.

— Co cię kusi?

— Miarkuję, jako nie po drodze już jedziem, a czyście po polu.

— Jakto?

— A no, trza nam się było od Kalwarji na prawo brać, a jakże tu w takiej kurzawie Kalwarję uźrzeć. Tak se uważam, że dawno my już toto przejechali.

— Więc co?

— Musi pobłądzili-m.

— I co będzie?

Obejrzał się na pannę Krystynę i wzruszył ramionami.

— Wiem ja to?

— Jakto, ty, taki stary, doświadczony furman?

— E, co tu, proszę łaski jasnej panienki, doświadczenie. Jeden chłop, litwin, to tu od sąsiada jeno o dwie, trzy staje, jechał, a jak go kurzawa ogarnęła, to się chudzina bez całą noc kołował, doma nijak trafić nie uradził. Tak i stanął w zawiei i w mroku. Nad ranem dopiero patrzy: a on przed swoją zagrodą ze saniami, a kobyła zaś nieledwie łbem płota tyka.

Co uradzi, jak tu ci, oko wykol, nic nie widno.

Zlazł ze sanek, i odkopywał nogą śnieg pod sobą, potem nachylił się i ręką po ziemi macał.

— A co nie mówiłem, rzekł po chwili żytko pod śniegiem ozime... Dobrze, że jeszcze nie oparzel jaka, jak to w tym, kraju, gdzie inszym razem chłop z wozem i końmi zapadnie się na amen, a ono się nad nim zamknie, że jeno plama na śniegu wystąpi.

A no, łaska Boga, skończył.

Panna Krystyna niecierpliwiła się raczej niż trwożyła w tej przykrej sytuacji. Jej żywy, energiczny temperament burzył się przeciw flegmatycznemu spokojowi mazurskiego chłopa i jego pokornemu poddaniu się na łaskę losu.

Ofuknęła go surowo.

— Nie marudź, jeno zawracaj i jedź w tej samej dyrekcji. Musimy przecie trafić na drogę i na figurę przy drodze.

Sypało coraz obficiej; wiatr zrywał z pola gęste tumany wirował nimi w powietrzu i przewalał je na inne miejsce. Przez chwilę niedługą odkąd stali, sanki z jednej strony prawie do połowy zakopało w głębokiej zaspie śniegowej. Panna Krystyna czuła też na sobie grube warstwy śnieżne, które jej ciążyły na głowie, na ramionach, na nogach. Wiatr miotał gwałtownie tym lotnym, lodowatym pyłem i siekł ją po twarzy dotkliwie. Pod wpływem własnego bólu zaczęła myśleć o cierpieniach tych nieszczęsnych, którzy takie noce okropne przepędzać muszą, gdzieś na biwakach, może nawet bez ochrony namiotu nad głową. Myślała o cierpieniach ukochanych braci swoich i tego delikatnego, wypieszczonego, śmiertelnie zakochanego w niej chłopca, któremu kazała zostać bohaterem...

Poszedł na niebezpieczeństwa wojny, na trudy, cierpienia...

Marcin, posłuszny rozkazowi siadł na kozioł, cmoknął na konie i skręcił z miejsca.

Czy jednak wracał w poprzednio przebytym kierunku? Kto zgadnie? Śnieg zasuł kolej już tak gruntownie, że i po dniu pewnie trudnoby było dojrzeć, którędy przed chwilą przeszły sanie. Nie spieszył przecież zbytnio. Przezorny woźnica, nie wierząc już zgoła w możliwość odnalezienia wśród śnieżycy właściwej drogi, pamiętał jeno o niebezpieczeństwach okolicy, w jakiej się znajduje.

Wszakże tu się zaczyna owe pojezierze litewskie. Jeżeli Finlandję nazywają krajem tysiąca jezior — Augustowskie jest krajem jezior półtysiąca. Pięćset mniejszych i większych wodnych toni rozlewa się tu na niewielkim stosunkowo obszarze ziemi, a wśród nich liczne błota i oparzeliska, pokryte mchem i trawą, które śnieg z wierzchu przypruszy, niezamarzającem nigdy wnętrzem swojem grożą niebacznym podróżnikom.

Właśnie w stronę Krasek ciągnęły się szerokim pasem takie niezgruntowane, pełne tajemniczej grozy trzęsawiska, a Marcin przypuścił sobie do głowy, że go „złe“ umyślnie na owe djabelskie wertepy ciągnie. Miał się zatem na ostrożności. Człapały koniska noga za nogą, a on trwożnie uważał na każde ich stąpnięcie.

Wyczerpywało to cierpliwość panny Krystyny do ostateczności.

— Prędzej, prędzej, na miłosierdzie boskie prędzej, nagliła.

— Ale, pilno nam to w jaką jamę zachynąć? — odparł z flegmą.

Teren rzeczywiście stawał się podejrzany. Nie były to już nawiane zaspy śnieżne, ale najzwyczajniej stałe nierówności gruntu. Sanie przechylały się na prawo lub na lewo, że zaledwie można się było w nich utrzymać, to znowu konie zapadały po brzuchy w jakichś rowach i dołach.

Marcin stanął.

— Aże zawieja nie ustanie, kroku dalej jechać nie lża. Potrza to nam czortowi po dobrej woli w gębę leźć. Odrazu-m miarkował: zły dzień.

— Nie powiadaj głupich rzeczy, — strofowała.

— Nie pojadę, pannusiu, żeby mię i batem gnał.

Panna Krystyna jęknęła z rozpaczy.

— Boże, Boże, — biadała — co będzie?

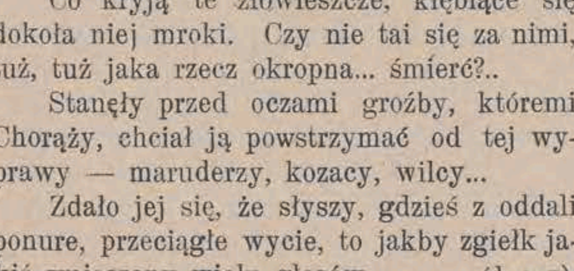
— A no, przeczekamy do świtu i dobra.

Decyzja ta przeraziła ją głęboko, choć panna Krystyna miała serce mężne, i nie jednemu już niebezpieczeństwu patrzyła śmiało w oczy, teraz przecież perspektywa przepędzenia długiej grudniowej nocy na pustem polu, wśród śnieżycy wydała się jej ciężką klęską. Trapił ją niepokój o matkę, ale także zatrwożyła się o własne bezpieczeństwo. Zdjął ją strach przed niewiadomem. Ogarnięta nieprzeniknionymi tumanami śniegu, czuła się, jakby odcięta od świata i ludzi, jakby zawieszona w przestworzach między niebem a ziemią.

Co kryją te złowieszcze, kłębiące się dokoła niej mroki. Czy nie tai się za nimi, tuż, tuż jaka rzecz okropna... śmierć?..

Stanęły przed oczami groźby, któremi Chorąży, chciał ją powstrzymać od tej wyprawy — maruderzy, kozacy, wilcy...

Zdało jej się, że słyszy, gdzieś z oddali ponure, przeciągłe wycie, to jakby zgiełk jakiś zmieszany wielu głosów. (d. c. n).



KAZIMIERZ GLIŃSKI.

53)

STARE LWY.

POWIEŚĆ.

Perełka nie odstępowała na krok jeden od ukochanej pani swojej, z której losami związane były i jej losy; daleko tylko była od wszelkich myśli niespokojnych, trapiących Przemka: od rozgorączkowania wojewodziny; od trwożnych przeczuć Jasieńca: śmiała się perliście i tym pustym, wesołym śmiechem dodawała otuchy pani Dominice, bezwiednie usypiała czujność ochmistrzyni, nie wzbudzając podejrzeń żadnych, co do mających nastąpić wypadków, pozwalając jej swobodnie delektować się wodą jordanową. Niby na gody, do niebezpiecznej gotowała się ucieczki, szepcąc wojewodzinie na ucho:

— To ci miłować się będziemy — pani z Jasieńcem, ja z Przemkiem!.. Wystrzępią się usta od pocałunków, a dech się tak zaprze, że jeno krzyczeć trza będzie.

O, słońce! przebiegnij prędzej złoty gościniec błękitów!.. o, nocy!... miesięczna nocy — otul świat prędzej, na czuwające powieki spuść sen mocny, bo piersiom zabraknie tchu, drżeń sercu!...

Z męskim spokojem i myślą poważną, choć nie wolną od trosk i przeczuć niedobrych, oczekiwał Jasieniec zejścia księżyca, zbliżenia się owej północnej godziny, która da hasło do pląsów. Zmiana, jaką ostatnimi czasy zauważył w zachowaniu się Przemka głuchą trwogę wzbudziła w sercu rycerza. Wesołe zawsze i pewne siebie chłopię, straciło wesołość i pewność; na proste jasne pytania — wymijające dawało odpowiedzi, unikało wzroku Pełkowego, jakby w obawie zdradzenia tajemnicy jakiejś — rzuciło czasami śmiech lub koncept wymuszony, tak, jak się rzuca monetę zdawkową. Nieraz bladość niezrozumiała okryła czoło młodzieńcze, to krwią nabiegły policzki, omijał rozmów o wojewodzie, złem o nim nie odezwał się już słowem. To wszystko dziś zwłaszcza, w chwili natężenia nerwów i oczekiwaniu godziny stanowczej — z większą mocą nasunęło się myśli Jasieńca i trwożnym przypuszczeniom przystęp dało. Przypomniał sobie słowa Przemkowe, że „nad snem wojewody czuwać będzie“... Zadzwoniły one dziś szeptem o uśpieniu czujności. Czujność?... skąd ona?... żali

zły duch jaki poszepnął panu Włodkowi o ich spotkaniach się leśnych, o rozmowach tam prowadzonych?... może Przemko ze słów wojewody wyrozumiał, że jakiś zdradziecki wiatr w ucho jego zawiał i kazał baczenie mieć na wszystko?.., coprawda nic o tem nie mówił, lecz może nie chciał mówić i trwożyć i siać niepokój w dusze i tak niespokojne. Czuwać będzie nad snem wojewody... Snadź jego obecność tam, przy nim, konieczną być musi. U furty nie stanie sam, przez labirynt korytarzów nie poprowadzi, wyręczy go w tem Perełka z lampką w ręku, niby duch dobry, czekająca. Są więc pewne przeszkody, które tylko czuwanie nad snem wojewody usunąć może.

To też z dreszczem wewnętrznym, zaledwie wychynęła się z za lasów czerwona twarz miesiąca — Jasieniec wymknął się z murów Smolenia i zatrzymał się w miejscu pierwszego spotkania się z Przemkiem, skąd poraz pierwszy, w krwawych koralach zachodu, błysnął przed nim gmach ogrodzienieckiego zamczyska.

Cisza —

Cisza i spokój — —

Wyżej i wyżej płynie tarcza księżyca, srebrny blask jego przesiewa się przez kryształ powietrza, zalewa światłem sennem umajoną dolinę pod zamkiem, przegląda się w ros perłach, jakiemi rozkoszny chłod nocy majowej odzierzgał trawy i kwiaty. — Srebrzą się trawy, kwiaty pachną... Ziemia tchnie wonią i czarem wiosny.

Wzrok Jasieńca spoczął na zamku — —

Północ się zbliża — senne przygasają światła. Na wieży strażniczej patrzy ognia oko krwawe, ale ono nie dosięgnie doliny, zakrytej załamem murów zamkowych. Świeci jeszcze okno w sypialni pana wojewody. Coś zamarudził stary i lampy nie stłumił... Mgli się niepewny blask w komnacie pani Dominiki... Nie ona go tchem swoim zdmuchnie.

Targnęło się silnie serce Jasieńca — — Niepokoi go światło w izbie Włodkowej, to długie czuwanie starego. Pewnikiem Przemko jest przy nim i czujność usypia... Śpij, śpij, panie wojewodo, a sen miej twardy!... Niech cię nie obudzi dźwięk maćkowej fujarki, szmer pląsów i śpiew dziewiczy, który za chwilę na tej dolinie się ozwie.

Księżyc płynie wyżej i wyżej... Na dolinie lekka, przezrocza posnuła się mgła...

Zamajaczyła jakaś postać ciemna — ku zamkowi kieruje swe kroki.

Jasieniec wytężył wzrok — —

To idzie ksiądz, idzie pospiesznie...

Dlaczego tak późno?...

W piersi Jasieńca niepokój w trwogę się zmienia — —

Ksiądz zbliżył się do bramy wjazdowej— i uderzył w kołatkę...

Wrota się otworzyły — cień zniknął...

Do północy być musi jeszcze dość czasu — ale nadejdzie — nadejdzie!...

Jakiś lęk ogarnia serce rycerza — oczy utkwił w furtę, pomiędzy głazami ukrytą, w słuch się zmienił i wzrok — —

Dźwięk cichy—senny zakołysał się w powietrzu —

— Już! już! wybiegło z ust rycerza — i ściągnął uzdę koniowi.

Pomiędzy głazami zaśnieżyły postaci lekkie, białe... Srebrnym strumieniem ku dolinie spłynęły, pląsem powiewnym rozbijając mgły. (d. c. n.)

GENOVA

SANTA MARIA DI CARIGNANO.

Przez purpurowych zasłon magiczne półkola,
Na cichych, krągłych absyd śnieżnobiałe ściany,
Na śnieżystych posągów sezam zadumany,
Sączy się tajemnicza, krwawa aureola...

Białe, renesansowe, półkrągłe arkady,
Podtrzymują surowe z marmuru kolumny,
Niby białych Westalek tłum kamienny dumny,
W zasłonowych refleksów tych purpurze bladej.

Renesansowe, proste surowe ołtarze,
W zasłoniętych obrazów purpurowym czarze,
W cichej, sennej zadumie o Wieczności toną...

W tym białym, tajemniczym, czarownym [kościele,
Pełnym różowych nimbów, pokornie się ścielę
Duszą, w renesansowej sztuce rozmodloną...

Wacław Wolski.

J. MACIEJOWSKI.

NIEWOLNIK.

Obrazek z życia obłąkanych.

— Gdzie? Tam? Tak, tam i — tu, i tu także, ach — wszędzie, zawsze i wszędzie! Ani noce ciemne ani gwiaździste z księżycową jaśnią, ani dnie szare dżdżyste, ani promienne nie są wolne od niego, ani nic, ani nikt — dodał prawie szeptem i rzucił wokoło siebie lękliwie oczyma.

Koło niego siedział siwowłosy starzec. Był głęboko zadumany.

— I ty i ja jesteśmy sługami jego.

Spojrzał przeszywającym wzrokiem na starca, na skamieniałą pomarszczoną jego twarz, w błędne szare oczy, zacięte usta.

— Kiedy przyszedłem do świadomości, ujrzałem jego wstrętną ohydną twarz, a ty?

— I ja — odrzekł cicho starzec i głowę otulił w wychudłe ramiona. — Ale ja, ja go się nie bałem z początku. Wyzwałem na bój i długo, długo walczyliśmy ze sobą — lata, dziesiątki lat, a potem, potem — raz, raz, raz — cios jeden o — tu, w serce i zwaliłem się jak dąbczak i zostałem drewnem. On zdeptał mnie choć byłem młody i poszedł dalej zwycięzca — strach!

Zatrząsł się cały i jeszcze bardziej skulił, wtulając głowę w ramiona. Wzrok utkwił w jednym punkcie, rysy twarzy, ożywione przez chwilę, znów skamieniały.

— On żyje i w tym parkanie, pod którym siedzimy, i w tym lesie, który nas otacza i w tobie i we mnie he, he, he. —

— Strach, strach — szepnął starzec. — Jeden cios i zostałem drewnem, a byłem drzewem, które rosło z pożytkiem; byłem kwiatem młodości, który radował innych; byłem siłą życiodajną, byłem pracą i miłością, byłem człowiekiem — dziś jestem drewnem — zacharczał piekielnym śmiechem, spuszczając oczy ku ziemi — drewnem tylko. I ona już mnie przestała kochać, przestała... umarła dlatego, bo kochać mnie nie mogła. Patrzę w gwiazdy, słońce i błękity — niema jej — poszła. Mały szczupły śniady młodzieniec przytulił się do starca.

— Ledwo przeszedłem połowę drogi, a już tak lękać się począłem, żem uciekał, uciekał i uciekał, a on gonił mnie precz, znajdował i przerażał coraz bardziej i przeraża sobą wciąż i tu także i tu, u nas. A tamci — wskazał na innych chorych, spacerujących po lesie i ogrodach, tamci nie czują go, ani nie wiedzą, że jest i męczy ich tak samo jak nas obydwuch. A przecież znają go.

— Znają? — mówisz.

— Tak. Opowiadały mi kiedyś staruszki, często spotykane, sieroty dzieci, matki, ojcowie, starcy wiekowi jak ty, że znają go. Chodził i chodzi za niemi trop w trop, chodzi wciąż bezustanku i męczy, męczy jak nas. Opowiadały mi kiedyś młode dziewczyny spragnione kochanków jak im marzenia potargał. —

— Tak, jak mnie — jęknął starzec.

— I młódź różnego wieku i stanu długo mi kiedyś opowiadała ile ciosów zadawał ich młodości A jeden pokazywał siwe włosy, choć był młodszy ode mnie, bo nie miał trzydziestu lat. A raz, raz dziecię kilkoletnie skarżyło się przedemną, że musi umierać, bo matkę poniewierał — —

— Tak, jak ją, moją kochankę — Lidę.

A raz w lesie, pamiętam — mówił gorączkowo mały, szczupły, śniady młodzieniec, raz w lesie szamotały się skargą drzewa i łkały poszumem swym krzewy, kwiaty smutno patrzyły ku niebu, bo wydawał wszystko na łup śmierci.

— Śmierci—szepnął z przerażeniem starzec.

Tak, na łup śmierci, kochanki swej. Czy ty wiesz, starcze, co to jest śmierć?

Oczy starca szeroko się rozwarły.

Śmierć — szepnął z najwyższem przerażeniem — śmierć, jego kochanka — to koniec wszystkiego. On, nas, ludzi do niej prowadzi. A kiedy odda w jej ramiona, idzie po inne ofiary, bo śmierć jest wiecznie głodna, wiecznie spragniona, jak on sam. Oboje powstali z życiem i oboje z niem zginą, tylko z niem.

Młodzieniec nagle zerwał się z miejsca. Stanął na wprost starca, oczy mu pałały, wściekłością wykrzywiła się twarz.

— Jest, tak — jest wszędzie, ale ja muszę go usunąć, ja, z tobą razem!

Błędnie patrzył na starca, obojętnie spoglądającego na coraz liczniejszych swoich towarzyszy, snujących się w ogrodach i lesie.

Zachowywali się na pozór spokojnie. Czasami tylko dobiegał nieludzki ryk i momentalnie cichł, czasem wyrwał się jakiś półdziki śmiech i zamarł, ustępując bezładnie nuconej pieśni.

— To wszystko on robi, to jego działanie. Czy wiesz on nawet jest w śmiechu, w pieśni, w radości i dobywa się z ludzkiej piersi — nieraz oszalałym krzykiem — powiedział monotonnie z rezygnacją starzec.

Młodzieniec milczał. Obaj obłąkani nadsłuchiwali piosenek, śmiechów, szmeru rozmów, wrzasków i przyglądali się spacerującym chorym.

— A ja pójdę kopać mu grób. Powiem życiu, jeśli z niem spotkam się także — ty zostań. Ciebie zabijać nie chcę, a jego muszę. Ty bez niego obejdziesz się, będziesz przecudne, wieczyście wiośniane, wieczyście jasne jak słońce, które przyświeca późną wiosną. Powiem życiu, że my ludzie dość już, dość nacierpieliśmy się z jego powodu, dość łez popłynęło — —

(dok. nast.)

JAN MORÉAS

NOKTURN.

Rach ciach, rach ciach, — słychać stolarza
[wysiłki rzetelne,
Rach ciach, on nieboszczykom mieszkanie
[gotuje śmiertelne.

Dobry stolarzu zważ na me błaganie,
Z dębu obszerne wyciosaj posłanie,
Zestawiaj deski, raźno wbijaj ćwieki —
Ja me kochanie dziś chowam na wieki!

Białym atłasem wyściel mar tych rąbki,
Jak są jej ząbki — jej błyszczące ząbki
W błękitnych wstążek jasnem skąp prze-
[zroczu
Jak głąb jej oczu — jej przepastnych oczu.

Rach ciach, rach ciach — słychać stolarza
[wysiłki rzetelne,
Rach ciach — on nieboszczykom mieszkanie
[gotuje śmiertelne.

Hen pod wiązami, pod wiązami skrycie,
Kiedy kukułka kukała o świcie,
Kędy strumienia igra fala pusta
Obcy młodzieniec całował jej usta!

Rach ciach, rach ciach — słychać stolarza
[wysiłki rzetelne,
Rach ciach — on nieboszczykom mieszkanie
[gotuje śmiertelne.

Dobry stolarzu zważ na me błaganie.
Z dębu obszerne wyciosaj posłanie,
Rznij trumny deski, — raźno wbijaj ćwieki,—
Ja w niej mą miłość pogrzebię na wieki!

Przełożyła Adela Z.



REINHOLD ORTMANN.

POŻEGNANIE.

(Z niemieckiego).

Zastał ją pewnego wieczoru w swej pracowni, gdy wracał z długiej samotnej przechadzki do samotnego swego mieszkania. Wtulona w kąt fotelu, wpatrywała się okiem nieruchomem w światło lampy, i w tak głębokiem była pogrążona zamyśleniu, że nie słyszała i nie zauważyła jego wejścia.

Spojrzał na nią. Była przerażająco bladą i szczupłą! Wówczas w oczach jego zamigotał wyraz wielkiego, niewymownego bólu, a bruzdy na czole i około ust o szlachetnym wykroju, wydały się głębszemi jeszcze niż zazwyczaj.

Zatrzymał się na progu, i dopiero gdy dłuższa upłynęła chwila, zbliżył się do biurka.

Na odgłos kroków jego kobieta zadrżała i duże oczy jej, pełne łez, powstrzymywanych niezmiernym wysiłkiem woli, spoczęły na jego twarzy z obawą i lękiem.

On zaś, głosem zdradzającym znużenie, spytał powoli:

— Pocoś przyszła?.. Czy chcesz... czy chcesz mię męczyć jeszcze dłużej?.. My dwoje... przecież... przecież... już dawno... nie mamy sobie... nic do powiedzenia.

— Owszem, Henryku... ja mam ci jeszcze coś do powiedzenia, — zabrzmiała odpowiedź cicha i pokorna. — Jest to ostatnia prośba, którą zanoszę do ciebie. Proszę, byś mię wysłuchał.

Ruchem zmęczonym i apatycznym odgarnął z czoła promień siwych włosów.

— Nie przypominam sobie, bym ci kiedykolwiek miał odmówić czegoś. Jeżeli sądzisz, że to dla twego dobra, to mów.

Słowa jego nie brzmiały bynajmniej zachęcająco. To też w głosie kobiety — gdy mówić poczęła — drżał wyraz cichego, tajonego bólu:

— Pisałeś do mojej matki, że zażądasz rozwodu i, że w tym celu postanowiłeś oświadczyć, iż się uznajesz za stronę winną. Tej ofiary twej wspaniałomyślności przyjąć nie mogę. Całą swą winę chcę wyznać przed sędzią. Zanim jednak to uczynię, przyszłam do ciebie, — który na ziemi jesteś sędzią mym najwyższym, — by ci wyjawić prawdę; prawdę, której wówczas posłuchu dać nie chciałeś.

— I cóż innego możesz mi wyznać, prócz tej jednej prawdy, że go kochasz? Czy nie lepiej zaoszczędzić sobie męki?..

— Nie, nie!.. Nie każ mi milczeć!.. Ty nie wiesz, jakiem walczyła, zanim się zdobyłam na przyjście do ciebie!.. Zlituj się nademną!

— To ty powinnać była nademną się zlitować, gdyś mi przysięgała miłość, wcale w sercu twem nie goszczącą!.. Lecz mów, nie bronię ci tego!

— Kiedym ci przysięgała miłość w sercu mem nie goszczącą wcale! — powtórzyła jego słowa i dreszcz gwałtowny wstrząsnął smukłą jej postacią. — Nie, Henryku... Bóg mi świadkiem, żem cię nie oszukała. Kochałam cię w owej godzinie, gdyś mię pojął za żonę; nigdy, ani na chwilę kochać cię nie przestałam i dzisiaj również cię kocham gorąco.

— Gdyby był krzyknął, gdyby — zapomniawszy się w uniesieniu, — rękę podniósł i ją uderzył, nie zraniłoby jej to tak głęboko, jak to uczynił uśmiech jego obojętny i pełen pogardy.

— Równie gorąco mię kochasz, jak w owej godzinie, gdym cię widział... całującą jego... Nieprawda?

Ręce jej, drżąc szukały oparcia, oczy rozbłysły rozpaczą.

— Nie mam prawa błagać o twe zaufanie,— rzekła głosem bezdźwięcznym. — Ale może jednak nastanie dzień, w którym przypomnisz sobie słowa moje... dzień, który wierzyć tym słowom cię nauczy. Tak, kochałam cię nawet w owej godzinie, gdy wybuch krwi młodej i gorącej rzucił mię na chwilę w objęcia kuzyna! Całując jego, całowałam ciebie, i ciebie tylko widziałam przed sobą! Od dzieciństwa mego żyłam w przyjaźni z Ludwikiem; zdaje mi się nawet, że przyjaźń ta, — z jego strony, — później przemieniła się w miłość. Nigdy jednak nie okazał mi tego. Zwalczał i ukrywał swe uczucie i w owej tylko chwili, — przysięgam ci, Henryku, — po raz pierwszy i jedyny stracił panowanie nad sobą. Ani słowa nie mówiliśmy o miłości... wziął mię w ramiona i pocałował... i ja zezwoliłam na to... Dlaczego?.. nie wiem. To jedno wiem tylko, że go nie kocham... że na całym świecie nikogo prócz ciebie nie kocham i kochać nigdy nie będę.

Nie mogła widzieć jego twarzy, gdyż podczas jej mowy pozostawał w cieniu. I długa upłynęła chwila, zanim usłyszała jego odpowiedź.

— A gdyby nawet tak było... nam to już nic nie pomoże. Straciłem ufność i wiarę w ciebie. Bogu wiadomo, jak pragnę, by nastąpił kiedyś dzień, dający mi możność ponownego zaufania ci... Dzisiaj jednak... wierzyć ci nie mogę. Przebaczyłem ci dawno i potrafię znieść, gdy cię ujrzę szczęśliwą... z innym... z nim.

Przybyła, zachowując obecnie pozór zupełnego spokoju, podniosła dłoń ku sercu i silnie je przycisnęła; czuła, że ogrom bólu śmiercią jej grozi niechybną.

— To powiedzieć ci chciałam, Henryku... A teraz, idę... Czy mogłabym dziecko swe zobaczyć raz jeszcze?

Nie, nie! wołał głos wewnętrzny w jego duszy. Czy mam pozwolić na to, by mi odebrała w dodatku serce dziecka mego? Nie wyrzekł jednak słów, na usta mu się cisnących. Życie nauczyło go panowania nad sobą. Z równie obojętnym spokojem jak dotychczas odpowiedział:

— Mały jest w swoim pokoju. Jeżeli chcesz, to każdej chwili widzieć się z nim możesz.

— Dziękuję ci. — Bywaj zdrów.

— Bywaj zdrowa.

Stojąc na progu, zawahała się chwilę. Lecz on pozostawał nieruchomy jak poprzednio.

A za nią drzwi się zamknęły.

Ciężkim, znużonym krokiem Henryk Sartorius zawlókł się do biurka i padł na krzesło, poprzednio przez młodą swą żonę zajęte. Pusto i głucho było w duszy biednego męczennika; nie czuł bólu, nie czuł żalu... jakby wszystko w nim zamarło... gdy wtem radosny okrzyk dziecka rozbudził jego świadomość.

Jego chłopak! szczęście jego jedyne! Miłości dziecka odebrać sobie nie da... o, nie! A jeżeli ona mu je odbierze... jeżeli przyszła po dziecko...

Dreszcz, myślą tą wywołany, tak gwałtownie wstrząsnął biednym ojcem, że silny mężczyzna musiał się oprzeć o biurko, by nie upaść. Do niego... do dziecka!.. Zanim nie będzie zapóźno... zanim ona mu je ukradnie!

Zerwał się z krzesła i pobiegł do pokoju dziecka.

Chwała Bogu! jeszcze go nie stracił. Słodki, wesoły szczebiot chłopczyka rozlegał się za drzwiami zamkniętemi, a ojciec uchem i sercem chwytał te dźwięki.

— Ale teraz, mamusiu, nie odejdziesz już od nas, nieprawda? Tatuś i ja tak smutni jesteśmy od czasu twego wyjazdu! ja trochę się boję tatusia... nie bardzo... ale cokolwiek... Kochana, droga mamusiu, już nigdy od nas nie odejdziesz?

Mężczyzna, podsłuchujący za drzwiami, przybliżył siwą głowę do szpary, by nie stracić ani słowa z rozmowy między matką a dzieckiem. I usłyszał łzami nabrzmiały głos swej żony:

— Nie, drogie dziecię, muszę raz jeszcze wyjechać... Lecz nie smuć się, kochanie moje... bo bardzobyś zmartwił tatusia... A tatuś tak kocha swego syna!

— Ale ja nie chcę, żebyś odeszła od nas!— dąsał się mały. — Dlaczego nie zabierasz mię ze sobą? Tatuś taki cichy teraz i wcale mię nie sadza na plecy, bym jeździł „na barana", i nigdy się nie bawi ze mną. A ja ciebie tak kocham! Zabierzesz mię ze sobą, mamusiu jedyna!

Mężczyzna niżej jeszcze schyla głowę, źrenice jego mgłą zachodzą wilgotną, serce bić prawie przestaje... Owładnięty strachem gorączkowym, czeka odpowiedzi... Czeka daremnie...

— Nie płacz, mamusiu kochana! Nie powinnaś być smutną, skoro ja pójdę z tobą. I tatuś też do nas przyjedzie. Tatuś tak cię kocha. Pozwól, mamusiu, bym poszedł z tobą! — prosi dziecko w dalszym ciągu.

A następnie brzmi głos, zdradzający bezbrzeżną mękę serca złamanego:

— Słodki mój, słodki chłopcze, nie mogę zabrać cię ze sobą. Zanadtoby tatuś się zmartwił, gdybyś nie został przy nim. Ale ja wrócę, wrócę niezadługo. Tylko nie płacz, moje stokrocie... To... inaczej... być nie może!..

Usłyszawszy te słowa, mężczyzna głośnym wybucha płaczem; ramiona jego w rozpaczliwem

podnoszą się łkaniu; drżąca ręka z trudem otwiera drzwi.

A po chwili korzy się, klęcząc u stóp młodej żony; korzy się przed nią — która pojąć nie może szczęścia, jakie ma się stać jej udziałem,— przed nią, która dokonała najcięższej dla serca matki ofiary, — i drżące jego usta szepcą:

— Przebacz, jedyna!.. Teraz wiem, że mię kochasz. A jeżeli chcesz pozostać w domu moim... jeżeli dla dziecka pozostać zechcesz.. to cię na rękach poniosę przez życie!

Przełożyła *Malwina B.*

MIGUEL DE CERVANTES SAAVEDRA.

2)

Zazdrosny Estremadurczyk.

(Z hiszpańskiego przełożył Zdzisław M.)

Z nietłumaczonych dotychczas utworów Cervantesa.

Niechajże mi powie teraz ten, który nader rozważnym i oględnym być się mniema: jakie jeszcze środki ku ochronie swego bezpieczeństwa wynaleźć mógł stary nasz Filip, skoro nawet zwierzętom płci męskiej nie pozwolił przebywać w swym domu?

Nigdy się tam kot żaden za szczurami nie uganiał, nigdy ujadanie psa nie rozlegało się po pokojach, gdyż wszystkie te stworzenia były rodzaju żeńskiego. Carrizales spędzał dnie na rozmyślaniach, nie sypiał po nocach: sam był strażą naczelną, sam szyldwachem nocnym swego domu i Argusem umiłowanego przez się skarbu. Nigdy żaden mężczyzna nie wszedł poza obręb wewnętrznych drzwi dziedzińca; Filip ze swymi przyjaciółmi rozmawiał na ulicy; wzorzyste kotary i obicia, któremi zdobne były pokoje, wyobrażały jeno postacie niewiast, gaje i kwiaty. Dom cały nawskroś przesiąknięty był jakąś wonią poczciwości, niewinności i pogody, a tchnęły nią nawet baśnie, które w długie zimowe wieczory pokojówki opowiadały sobie przy kominku: zawsze bowiem pan domu był obecny i nie pozwalał aby cień lubieżnej swawoli zakradł się do owych opowieści. Srebro siwych włosów starca, oczom Leonory wydawało się najczystszem złotem, gdyż pierwsza miłość w sercach dziewczęcych takie same pozostawia ślady, jak pieczęć na wosku. Nadmierna czujność męża wydawała się jej tedy troskliwością: mniemała i święcie w to wierzyła, że przez te same co ona koleje przechodzić musi każda młoda mężatka. Myśli jej nie wychodziły poza obręb ścian mężowego domu, a jej pragnienia we wszystkiem posłuszne były woli Filipa; ulice widywała tylko w święta, kiedy na mszę chodziła, a było to zawsze tak wczesnym rankiem, że chyba tylko na powrotnej drodze z kościoła, światło dzienne pozwalało jej dojrzeć co się dokoła działo. Nie sposób wyobrazić sobie równie zamkniętego klasztoru, ani bardziej skupionych w sobie mniszek, ani jabłek złotych lepiej strzeżonych. I mimo wszystko Carrizales nie zdołał uniknąć losu, którego się lękał, lub przynajmniej pozorów, że ziściły się jego obawy.

Jest w Sewilli cała klasa ludzi gnuśnych i bezczynnych, których nazywają zazwyczaj złotą młodzieżą. Są to synowie najbogatszych mieszczan z każdej parafji, próżniacy, hultaje i zawadjaki; o nich samych, o strojach, jakie noszą, o ich życiu, obyczajach i prawach, któremi się między sobą kierują, wieleby się dało powiedzieć; ale przez wzgląd na opinję pominiemy te sprawy milczeniem.

Jeden tedy z tych fanfaronów, nieżonaty (gdyż i żonatych znajdziesz między nimi), zauważył sobie przypadkiem dom naszego czujnego Carrizalesa. Widząc, że zawsze jest szczelnie zamknięty, zechciał zbadać kto w domu tym zamieszkiwał, i z takim zapałem począł czynić wywiady, że wkrótce ciekawość jego została zaspokojona. Dowiedział się kim był starzec, jak piękną miał małżonkę i jak bacznie nad nią czuwał; wszystko to obudziło w nim pragnienie przekonania się, czy będzie rzeczą możliwą, przemocą lub podstępem zdobyć tak dobrze strzeżoną twierdzę. Zwierzył się przeto trzem przyjaciołom swoim i postanowili razem zabrać się do dzieła; nigdy bowiem nie zbraknie pomocników i doradców tym, którzy zamierzają podobne przedsięwzięcia.

Jęli tedy rozważać przeszkody, jakie utrudnić im mogły dokonanie tak zuchwałego czynu i po długich naradach postanowili nareszcie plan działań, do którego zastosować się mieli. Loaysa więc (tak bowiem nazywał się nasz zawadjaka) pod pozorem nagłego wyjazdu, znikł z oczu swych towarzyszów.

Znalazłszy bezpieczną kryjówkę, wdział czyste szarawary płócienne i czystą koszulę, na to jednak włożył zwierzchnią odzież, tak wystrzępioną i połataną, że w całem mieście nie znalazłbyś nędzarza, którybychodził w równie ohydnych łachmanach. Ogolił następnie szczupły zarost, który miał na twarzy, przykrył plastrem jedno oko, jedną nogę mocno przewiązał szmatami i wsparłszy się na kulach, przemienił się w istnego nędzarza, tak niepospolicie, że najprawdziwszy żebrak chromy i ułomny nie mógłby iść z nim w zawody.

Taką przybrawszy postać, jął stawać codzień w czasie modlitw wieczornych pod drzwiami domu Carrizalesa. O tej porze dom zawsze bywał już zamknięty, a murzyn, któremu było Ludwik na imię, stał na straży, uwięziony niejako między jednemi i drugiemi drzwiami. Znalazłszy się na swem stanowisku, Loaysa wyjmował gitarę, nieco potłuczoną i pozbawioną kilku strun i, jako młodzieniec z muzyką nieco obeznany, poczynał wygrywać skoczne a wesołe melodje i przyśpiewywać sobie, przyczem głos zmienił, aby nie być poznanym.

Śpiewał więc romanse o maurach i maurytankach po zawadjacku a z takim wdziękiem, że wszyscy, którzy przechodzili ulicą zatrzymywali się, aby go posłuchać.

Otaczała go zawsze zgraja chłopców, a czarny Ludwik, zamknięty w przedsionku domu, uważnem uchem pożądliwie łowił dźwięki i pewno zgodziłby się prawą rękę oddać, aby módz jeno drzwi otworzyć i swobodniej posłuchać tych pieśni; tak wielkimi zwolennikami muzyki są murzyni.

Gdy Loaysa chciał, by słuchacze jego się rozeszli, przestawał śpiewać, chował swą gitarę i, wsparty na kulach, odchodził. W ten sposób cztery czy pięć razy murzyna muzyką uraczył; w istocie, grał dla niego jedynie, zdawało mu się bowiem, że gdy się brał do podkopania owej budowli, od murzyna jedynie trzeba i można było zacząć zamierzone dzieło, i nie omylił się w swoich obliczeniach.

Gdy pewnego wieczoru, podobnie jak dni poprzednich stanął pod drzwiami domu i począł stroić gitarę, wyczuł niejako, że murzyn słuch natęża. Zbliżywszy się tedy do szczeliny nad zawiasą, rzekł szeptem:

— Czy mógłbyś, Ludwiku, dać mi trochę wody, gdyż umieram z pragnienia i śpiewać nie mogę?

— Nic nie zdołam ci poradzić, — odparł murzyn, — gdyż klucza od tych drzwi nie posiadam, a niema tu żadnego otworu, przez który mógłbym wodę ci podać.

— Któż więc ma klucz? — zapytał Loaysa.

— Mój pan — odparł murzyn, — a niema na świecie całym drugiego równie zazdrosnego, jak on człowieka. Gdyby podejrzywał, że teraz z kimś tutaj rozmawiam, pewno przyszłoby mi się z tem życiem pożegnać. Ale kto jesteś ty, który o wodę mię prosisz?

— Ja — rzekł Loaysa, — jestem biedak ułomny i chromy, a zarabiam sobie na życie, w imieniu Boga prosząc dobrych ludzi o politowanie; jednocześnie uczę kilku czarnych i innych ubogich ludzi grać na gitarze: oto uczyłem ostatnio trzech murzynów, którzy w krótkim czasie takie zrobili postępy, że mogą teraz grać i śpiewać na najwykwintniejszych balach i w najlepszych oberżach; a zapłacili mi wcale niczego.

— Jabym ci stokroć lepiej zapłacił — wtrącił Ludwik, — gdybym tylko mógł w jakiś sposób brać lekcje od ciebie, ale sposobu właśnie niema, gdyż mój pan wychodząc rano, zamyka za sobą drzwi od ulicy i kiedy wraca czyni to samo, pozostawiając mię uwięzionego w przedsionku.

— Klnę się Bogiem, Ludwiku — zawołał Loaysa, — że jeśli w jakikolwiek sposób umożliwisz mi dostęp do siebie, abym ci wieczorami mógł lekcje dawać, w niespełna dwa tygodnie nauczę cię tak biegle władać gitarą, że będziesz mógł, nie wstydząc się, przygrywać na pierwszorzędnych zaułkach. Muszę ci bowiem powiedzieć otwarcie, że mam do nauczania dar niepospolity, przytem zaś słyszałem o tobie, że jesteś wielce uzdolniony, a sądząc z tego, co słyszę, organ głosowy posiadasz nader dźwięczny i dobrze musisz śpiewać.

— Śpiewam nieźle — odparł murzyn, — ale cóż mi z tego, skoro nie znam żadnej melodji, prócz tej, w której mowa o gwieździe wieczornej i tej, która zaczyna się od słów:

Przez zieloną łąkę... [1])

i tej jeszcze, którą teraz śpiewają, a która tak brzmi:

Żelaznej chwyta się kraty
Ręka więźnia niecierpliwa. [2])

— Wszystkie te melodje — rzekł Loaysa, — niczem są wobec tych, których ja mógłbym cię nauczyć: umiem wszystkie pieśni o Maurze Abindarraezie, o jego ukochanej Jarifie i wszystkie te, w których mowa o przygodach wielkiego Sofi Tomunibeya, znam melodję sarabandy *á lo divino*, a są to rzeczy tak piękne, że nawet portugalczyków w zachwyt wprawiają. Wszystkich tych śpiewów uczę w tak przystępny sposób, że choćbyś nie okazał wielkiej pilności, ledwo zdążysz zjeść trzy kwarty soli i ani się obejrzysz, jak będziesz biegłym i wszechstronnym na gitarze muzykantem.

Tu westchnął murzyn i ozwał się:

— Cóż mi z tego, skoro nie wiem jak cię do domu wprowadzić?

— Jest na to sposób — rzekł Loaysa, — postaraj się jeno dostać od twego pana klucze, ja zaś zostawię ci kawałek wosku, na którym w ten sposób je odciśniesz, aby pozostawiły wyraźne ślady. Moja w tem rzecz, aby jeden z moich przyjaciół, ślusarz z zawodu, klucze podobne sporządził; w ten sposób będę mógł wejść do ciebie nocą i nauczyć cię wszystkiego lepiej niżbym nauczył samego arcybiskupa. Widzę bowiem, że wielka byłaby to szkoda, gdyby z braku dostępu do gitary tak przedni głos miał być stracony dla świata, gdyż musisz wiedzieć, bracie Ludwiku, że najpiękniejszy głos traci na wartości, jeśli mu nie towarzyszą dźwięki jakiegoś instrumentu, gitary, klawicymbału, organów,

---

[1]) Są to pierwsze słowa słynnej „villanelli" Markiza de Santillana:

Por un verde prado
De rosas y flores
Guardando ganado
Con otros pastores...

[2]) Początek jednego z bardziej znanych romansów z cyklu „Romances fronterizos":

A los hierros de una reja
La turbada mano asida.

lub harfy. Ale dla ciebie najodpowiedniejsza będzie gitara, gdyż jest to ze wszystkich instrumentów najwygodniejszy w użyciu i najmniej kosztowny.

— Wszystko to prawda, — odparł murzyn,— ale plan na nic się nie zda, gdyż nigdy kluczy do rąk nie dostaję: mój pan we dnie zawsze nosi je przy sobie, a nocą spoczywają pod jego poduszką.

— Inną tedy dam ci radę, Ludwiku,—rzekł Loaysa, —jeśli masz istotnie chęć wydoskonalić się w sztuce muzycznej, w przeciwnym bowiem razie, niepotrzebnie wysilam się i suszę głowę, aby ci przyjść z pomocą.

— Czy mam chęć?—zawołał Ludwik, ależ tak wielką, że wszystko uczynię, aby mieć pewność, że zostanę prawdziwym muzykantem.

— Otóż, jeśli tak jest wistocie, — ciągnął dalej nasz zawadjaka, — i jeśli zechcesz mi być pomocnym usuwając nieco ziemi z pod progu, dam ci poprzez drzwi młotek i obcęgi: za pomocą tych narzędzi będziesz mógł wyciągnąć bez trudu gwoździe, którymi zamek jest przytwierdzony, później zaś z równą łatwością doprowadzimy wszystko do porządku, tak że nikt nie zauważy, iż zamek odejmowano. Gdy będę już wraz z tobą zamknięty w przedsionku, tak sprawnie zabiorę się do dzieła, że rychło ujrzysz więcej jeszcze niż przewidujesz, ku mojej korzyści, a twemu zadowoleniu. O to co jeść będziemy nie troszcz się wcale, przyniosę bowiem zapasów żywności poddostatkiem aby dla nas obydwuch na cały tydzień starczyło, gdyż mam uczniów i przyjaciół, którzy nie pozwolą bym głód cierpiał.

— Co do żywności, — odparł murzyn, — nie mam obawy by nam jej zabrakło, gdyż z porcji, którą mój pan codzień mi wydziela i z resztek, które od pokojówek dostaję, czterech takich jak my mogłoby się pożywić. Przynieś więc ów młotek, o którym mówisz i obcęgi, a ja wygrzebię tu pod progiem otwór, przez który będziesz mi mógł podać te narzędzia. Później, znowu ziemią go przykryję, a choćbym nawet, odrywając zamek, kilka razy silniej młotkiem uderzył, mój pan sypia tak daleko od tych drzwi, że byłby cud, lub dowód, że dziwnie się nam nie szczęści, gdyby coś usłyszał.

— Więc, jak mi Bóg miły, — rzekł Loaysa,— za dwa dni mieć będziesz, Ludwiku, wszystko, czego ci potrzeba, aby w czyn wprowadzić twe szlachetne zamiary. Unikaj jeno glewkich potraw, gdyż te pożytku ci nie przyniosą, a mogą na głos zaszkodzić.

— Od niczego tak nie chrypnę, — odparł murzyn, — jak od wina; tego jednak nie wyrzeknę się za żadne głosy i żadne skarby świata.

— Wina ci się strzedz nie każę, — ozwał się na to Loaysa: — broń mię Boże abym miał podobnych rad udzielać. Pij zdrów Ludwiku miły i wszystkiego najlepszego życzę ci z tego picia, gdyż wino używane w miarę nigdy nikomu nie przyniosło szkody.

(d. c. n)

POPULARYZACJA WIEDZY

Z postępów wiedzy i pracy.

Pochodzenie człowieka.

Do spraw naukowych, najbardziej interesujących każdego człowieka wykształconego, należy niewątpliwie pytanie, gdzie i kiedy powstał ród ludzki i jakiemi drogami rozpowszechnił się na ziemi. Do niedawna uważano pytanie to za nieco drażliwe, sądzono bowiem, iż przypominanie dzisiejszemu, tak wysoko ukulturowanemu człowiekowi, jego właściwego pochodzenia, przynosi mu jakąś ujmę, a nawet zadrasnąć może jego wierzenia. Dziś już rozumiemy, że nauka nigdy nie jest groźną ani dla zasad etyki czy religji, ani dla stosunków społecznych, podnosząc tylko i uszlachetniając godność człowieka.

„Światło padnie na pochodzenie człowieka i jego dzieje". Temi słowy zakończył przed 50 laty Darwin swe dzieło „O powstawaniu gatunków". I nie omylił się. Dane, jakie w tym przedmiocie zdobyła nowoczesna wiedza, wykazują, iż powstanie i koleje dziejowe rodu ludzkiego zostaną istotnie wyjaśnione szczegółowo, już dziś bowiem nauka posiada w swem ręku najważniejsze w tym przedmiocie dane, z którémi właśnie chcielibyśmy w niniejszym artykule czytelników naszych choćby w ogólnych zarysach zapoznać.

Wiadomości swoje opiera nauka na badaniu szkieletów ludzkich, znajdowanych w ziemi, lub części szkieletów, zwłaszcza czaszek, oraz na badaniu pokładów geologicznych, w których te szczątki dawnych ludzi są zagrzebane. Im bardziej kości szkieletu, a przedewszystkiem czaszki, różnią się od kości ludzi tegoczesnych i w im głębszych, dawniejszych, warstwach ziemi leżą, tem są oczywiście starsze. Obok szkieletów znajdujemy często i wytwory rąk ludzkich, świadczące o stanie kultury ludzi owych czasów. Do najdawniejszych szczątków ludzkich, jakie obecnie znamy, należą części czaszki, znalezionej w r. 1856 pod Düsseldorfem w Neandertalu; tego rodzaju czaszki znalezione też zostały w innych miejscowościach. Świadczą one o istnieniu przed wiekami w Europie swoistej rasy ludzkiej, którą nazwano rasą neandertalską. Ludzie tej rasy odznaczali się czołem bardzo nizkiem, cofniętem wstecz ku tyłowi głowy, z wydatnymi bardzo łukami brwiowymi; tylna część głowy była rozszerzona; jama mózgowa—szczupła. Pod względem wyglądu zewnętrznego musieli to być ludzie wzrostu średniego, 1,6 metrów wysokości, grubi, ociężali, silnie na ciele uwłosieni, na krótkich nogach i o rękach średniej długości; kolana mieli zgięte i grzbiet nachylony, choć chód ich był prosty; sprawiali wrażenie dzikie, przypominając bardziej zwierzęta, niż ludzi dzisiejszych. Tak przynajmniej opisuje ich Butel-Reepen, który długie lata badaniu ich szkieletów poświęcił. Zamieszkiwali oni w dawnych czasach Europę bardzo licznie. Kiedy to było, to ściśle określić trudno; sądząc z pokładów geologicznych, w których ich szczątki znajdujemy, upłynęło od tego czasu w każdym razie nie mniej, aniżeli 750,000 lat.

Nie należy jednak sądzić, że byli to ludzie pierwotni. Do Europy przybyli już bowiem ludzie wogóle dość późno. W pierwotnej kolebce swojej, którą niewątpliwie była południowo-zachodnia Azja, musiał ród ludzki długie tysiące lat rozmnażać się i rozwijać, zanim, rozszerzając się stopniowo, przekroczył granice pierwotnej swej ojczyzny, rozdzielając się (w okresie trzeciorzędowym) na kilka gałęzi. Jeden z najlepszych znawców tych pradziejów ludzkości, prof. Klaatsch, sądzi, iż pierwotny pień rodu ludzkiego wytworzył wówczas 3 oddzielne szczepy, z których jeden przeniósł się do Afryki, a stamtąd w części przewędrował do Europy, drugi rozsiedlił się w Azji, skąd ostatecznie w części również dostał się do Europy, trzeci wreszcie, jako zupełnie odrębna grupa, w bardzo wczesnym czasie powędrował do Australji.

Tym sposobem pierwotni mieszkańcy Europy należeli do 2 różnych ras: afrykańskiej i azjatyckiej. Pierwsza była niewątpliwie dawniejsza i stanowiła właśnie ową powyżej opisaną rasę neandertalską. Z tego powodu nawet prof. Wilser zaproponował nadać ludziom tej rasy zaleconą dawniej przez Haeckla nazwę ludzi pierwotnych (Homo primigenius). Słusznie jednak sądzą inni uczeni, iż nazwa ta nie może przysługiwać pierwszym ludziom w Europie, lecz tym hypotetycznym ludziom, którzy wszystkim trzem wzmiankowanym szczepom początek dali. Dla człowieka zaś neandertalskiego proponują nazwę człowieka jaskiniowego (Homo speläns), żył bowiem jednocześnie z niedźwiedziem jaskiniowym, lwem jaskiniowym i t. p.

Ludzi rasy neandertalskiej nazywają też negroidami (prof. Klaatsch nazywa ich goryloidami). Druga rasa, która później zapanowała w Europie, rasa azjatycka (orangoidy) przybyła z Azji dopiero w drugiej epoce międzylodowej; szkielety tych ludzi, zwanych aurignakami (Homo aurignacenses), znajdywane już dawniej, rozpoznano dokładnie w r. 1909. Ludzie ci zarówno cieleśnie jak duchowo znacznie przewyższali nean-

dertalczyków, którzy w walce z aurignakami ulegli, ustępując im miejsca w Europie prawie zupełnie.

Jakkolwiek w owych czasach nie istniała historja, któraby nam o walce tej opowiedzieć mogła, to jednak dziś przez naukę zdobywane pradziejowe świadectwa wystarczają, żeby z zupełną pewnością skonstatować, iż walka tych 2 szczepów, afrykańskiego i azjatyckiego, neandertalczyków i aurignaków, które się w Europie spotkały, była zażarta i długa. Szczep przybyły z Azji wytępił dawniej osiadłych tu neandertalczyków prawie doszczętnie, tak że gdzieniegdzie tylko pozostały jeszcze jego resztki. Tępiono jednak tylko mężczyzn, kobiety oszczędzano, uważając je za cenną zdobycz wojenną. Z temi kobietami zdobywcy mieli dzieci, wytwarzając tą drogą nową rasę mieszańców, w których zachowywały się cechy obu ras pierwotnych. Że tak było istotnie, na to mamy różne wskazówki, a między innemi liczne szkielety, znalezione pod Krapiną, z opalonemi kośćmi neandertalczyków, świadczące, iż w tem miejscu odbyła się wielka uczta ludożercza, na której przybysze ze wschodu pożerali dawniej osiadłych przybyszów z południa. Azjatycki szczep aurignaków odznaczał się czołem wysokiem, pięknie sklepionem, bez wydatnych łuków brwiowych, z mniej odległymi od siebie oczodołami; jamę mózgową mieli obszerniejszą; wogóle nie o wiele różnili się od dzisiejszych europejczyków.

Rasa mieszana, która powstała w Europie z połączenia wzmiankowanych wyżej szczepów pierwotnych, otrzymała nazwę Cro-magnon, od miejscowości, w której po raz pierwszy w roku 1868 znaleziono jej szczątki. Naukowa jej nazwa brzmi: Homo priscus; niektórzy jednak badacze nie uważają jej za oddzielną rasę, lecz na zasadzie opisanego wyżej jej pochodzenia, zapatrują się na nią jako na odmianę szczepu azjatyckiego aurignaków. Z tej to rasy mieszanej powstała dzisiejsza ludność Europy, która uległa i w dalszym ciągu wciąż ulega powolnym zmianom zarówno pod wpływem innych ras, później przybyłych, jak i pod względem stopniowych a ciągłych zmian klimatu i warunków życia, rozwijającej się kultury i t. d. Ludy południowe Europy są do dziś jeszcze bardziej zbliżone do typu neandertalskiego, aniżeli narody krajów północnych.

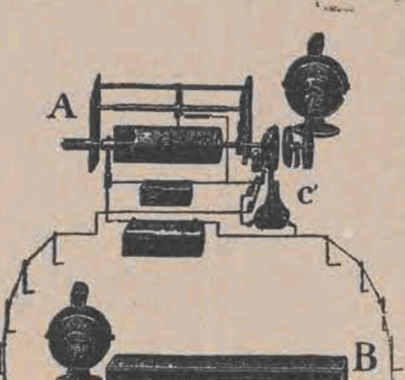
Dalszych dziejów człowieka, jego ras i plemion, rozwijać w tym artykule już nie zamierzamy. Z ciekawemi jednak dziejami początków jego kultury postaramy się czytelników obeznać w jednym z późniejszych numerów naszego pisma.

M. Heilpern.

KRONIKA POPULARYZACJI WIEDZY.

Nowa metoda telegraficznego przesyłania obrazów.

Znany na tem polu wynalazca Korn i pomocnik jego Glatzel udoskonalili znów znacznie metodę przesyłania za pomocą prądu elektrycznego na odległość rysunków i obrazów, nad którą od wielu lat już pracują. W odróżnieniu od innych analogicznych wynalazków w aparacie Korna nie znajduje wcale zastosowania pierwiastek selen, na który w tym kierunku tyle nadziei pokładano. Metoda ta polega natomiast na tem, że rysunek czy fotografja, których obrazy chcemy przesłać telegraficznie, zostają przedewszystkiem tak spreparowane, że jasne, białe miejsca rysunku stają się niezdolne do przeprowadzania prądu elektrycznego, natomiast ciemne, zarysowane miejsca obrazu, czynimy dobrymi przewodnikami elektryczności. W najprostszym wypadku dokonywamy tego, sporządzając rysunek farbą, stanowiącą zły przewodnik na cynfolii czy innej blaszce metalicznej. Rysunek nasz przedstawia schemat urządzenia całego aparatu. *A* jest stacją wysyłającą, *B* — odbierającą. Spreparowany w powyżej podany sposób rysunek, ma-

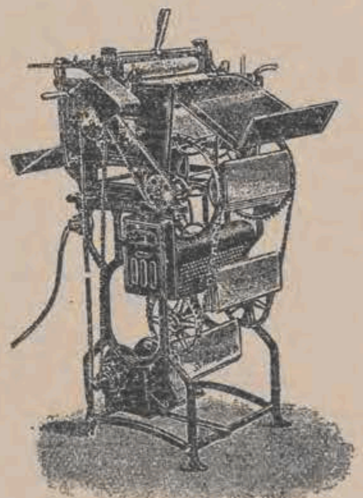


jący być zakomunikowany telegraficznie na odległość, nawijamy na wałek *a*, wprowadzany w jednostajny ruch obrotowy przy pomocy elektromotoru, który na rysunku widzimy na prawo od wałka. Po rysunku, obracającym się z wałkiem, ślizga się koniec sztyfcika metalicznego (jak widzimy na rysunku nad wałkiem *a*), który, zupełnie tak samo jak to się odbywa w gramofonie, przy każdym obrocie wałka przesuwa się w bok wzdłuż wałka. Za każdym razem, gdy sztyfcik dotyka się takich miejsc rysunku, które są dobrymi przewodnikami elektryczności, przebiega prąd od stacji wysyłającej *A* do odbierającej *B*, w której również obraca się wałek *b*. Aby ten wałek *b* obracał się z tą samą szybkością, z jaką porusza się *a* i zgodnie z nim, do aparatu na stacji odbierającej włączone są odpowiednie regulujące, synchronizujące przyrządy (c, c_1). Przy każdym obrocie wałek *b* przesuwa się również wzdłuż osi na taką samą odległość, jak wałek *a*. Nad wałkiem *b* znajduje się silny magnes, którego bieguny złączone są wyprężoną cienką nitką metaliczną; taki przyrząd (na rys. *d*) nazywamy galwanometrem strunowym. Na tę nitkę rzucamy przy pomocy

soczewki światło silnej lampy Nernsta, a przy pomocy drugiej soczewki światło z nitki na szczelinkę w przeponie mieszczącej się w rurze znajdującej się obok wałka w skrzyneczce, do której inne światło z zewnątrz niema dostępu. Dopóki prąd ze stacji wysyłającej *A* nie przybędzie na stację odbiorczą *B*, szczelinka jest zasłonięta cieniem nitki; z chwilą gdy prąd przybywa, w szczelinkę wpada światło nitki i wywołuje ciemny punkt na kliszy fotograficznej, nawiniętej na wałek *b*. Ile razy sztyfcik na stacji *A* dotknie się rysy lub punktu rysunku na wałku *a* i przepuści prąd, tyle razy światełko na stacji *B* wywoła w odpowiedniem miejscu analogicznie ciemny punkt na kliszy wałka *b*, odtwarzając dokładnie rysunek, tą drogą przesyłany. Galwanometr strunowy stacji odbiorczej przy natężeniu prądu, wynoszącem 10 miliamperów, pozwala regestrować w ciągu sekundy 1000 do 2000 znaków. Obraz o wymiarach 13 $\times$ 18 centym., założony na stacji *A* zostaje odtworzony na stacji *B* w ciągu 15 minut. Ostatnie udoskonalenia tego aparatu dają już tak dobre rezultaty, iż nie podlega wątpliwości, że w przyszłości bardzo niedalekiej będzie można wszelkie obrazy, portrety, szkice wydarzeń i t. p. przesyłać szybko na znaczne odległości. Będzie to ważne zwłaszcza dla gazet codziennych, które będą mogły pomieszczać wieczorem ilustracje wydarzeń, jakie tegoż dnia zaszły w odległych krajach.

Automatyczna maszyna kopjowa.

W biurach i zakładach, mających do czynienia z częstem kopjowaniem licznych listów, odezw, rysunków i t. p., dość dawno już zastąpiono dawne prasy specjalnemi maszynami, dającemi możność otrzymywania oddzielnych kopji nie tylko szybko i dokładnie, lecz zarazem i w licznych odbitkach. W ostatnich czasach maszyny te zostały jeszcze bardziej udoskonalone przez wprowadzenie niewielkich elektromotorów, przy pomocy których dają się one wprowadzić w ruch prędko i łatwo, oraz przez wprowadzenie jeszcze innych nowych ulepszeń. Obok podajemy rysunek najnowszego typu takiej maszyny, wyrabianej za granicą. Maszyna ta, wprowadzana w ruch prądem elektrycznym, sama podkłada listy czy rysunki, kopjuje



w dowolnej liczbie egzemplarzy, automatycznie obcina równo kopje, wysuwa je i zawiesza do wysuszenia, podsuwa je następnie pod prąd powietrza, wytwarzany przez wentylator elektryczny dla jeszcze dokładniejszego wysuszenia, a wreszcie układa na specjalnej podstawce, z której je łatwo otrzymać możemy.

MARS.

W ostatnich czasach wysiłki astronomów obserwujących Marsa skierowane zostały w celu zbadania zagadkowych kanałów, oraz zmiennego ukształtowania tej, najbliższej od nas planety.

Jest rzeczą pewną, że istnieje na Marsie sieć topograficzna, o wielkich linjach stałych, w których obrębie zachodzą jednak niekiedy nieznaczne zmiany, stwierdzające, że planeta ta podlega pewnym modyfikacjom.

Z obserwatorjum w Bourges dokładnie zauważono, że morze Sabliera zalewa część równiny, zwanej Lybią. Zielonkawe brzegi tego morza posunęły się aż do granicy, znanej już w r. 1896. Jeżeli morza i kanały przedstawiają w istocie wielkie mielizny i doliny pokryte roślinnością, jeżeli działanie słońca odbywa się na Marsie, z takiemi samemi wahaniami, jak i na ziemi, to śmiało możemy twierdzić, że planeta przeżywa okres stosunkowo *wilgotny*, t. j. sprzyjający rozwojowi organizmów roślinnych.

Fakt, że pola biegunowe szczególniej odbijają od reszty globu, nasuwa przypuszczenie obfitych opadów atmosferycznych w postaci śniegu. Czyżby to lód pokrywał perjodycznie obszary wilgotne? Aby rozwikłać ten problemat, rosyjski astronom p. Tikow, wpadł na świetny pomysł fotografowania planety za pomocą specjalnego objektywu.

W ognisku wielkiego objektywu, o średnicy 76 cmt., p. Tikow umieścił kliszę, przed którą znajdował się przeświecający kolorowy ekran.

Na fotografjach zdejmowanych za pomocą ekranu czerwonego, biegun ledwie był widoczny; zdjęcia dokonane przy zastosowaniu ekranu zielonego były wyraźne i pole biegunowe uwydatniło się bardzo silnie.

Opierając się na doświadczeniu p. Tikowa, możnaby sobie wyobrazić mechanikę tworzenia się i znikania „czapeczek“ biegunowych.

Z nadejściem pory zimowej, płyn znajdujący się na planecie (prawdopodobnie—woda) poczyna zamarzać w okolicach bieguna. Ów rodzaj lodu pokrywa się grubą warstwą szronu.

Gdy nastaje pora ciepła, szron znika zupełnie i lód nabiera wówczas barwy zielonawej. Prócz tego rzadkość chmur w atmosferze Marsa wyklucza możliwość obfitych opadów śniegowych, co tembardziej jeszcze umacnia prawdziwość teorji p. Tikowa.

Rzadkie pojawianie się chmur na Marsie pochodzi z braku wody, oraz znacznego rozrzedzenia powietrza. Najmniejszy promień słońca wytwarza tam silne parowanie, które tworzy mgłę otulającą niezmierzone prze-

strzenie. Jak stwierdzono, mgła ta wystarcza, aby ukryć pewne szczegóły planety, widoczne w stanie normalnym.

Sztuczne perły.

Od czasów najdawniejszych, aż do dnia dzisiejszego starają się otrzymać perły sztuczne przez wprowadzania między płaszcz a muszlę mięczaka ciał obcych w dwojaki sposób: albo się otwiera muszlę mięczaka, albo też ją się przedziurawia. Szczególnie w Chinach sztuczne otrzymywanie pereł stało się oddzielną gałęzią przemysłu. W tym celu używają głównie słodkowodnego mięczaka, mianowicie Dipsas plicatus. Pomimo jednak największych starań, aż do dnia dzisiejszego otrzymują tylko utwory podobne do pereł, ale pozbawione ich piękności. Najładniejsze perły sztuczne umieją otrzymywać japończycy. Nie są one kuliste, lecz posiadają kształt soczewki, której jeden bok jest bardziej wypukły. Połowa bardziej wypukła posiada piękny połysk, podczas gdy druga połowa odznacza się zwykłym połyskiem, jaki widzimy na guzikach z perłowej masy. Zrobiwszy przekrój przez taką perłę sztuczną, widzimy, że pięknie błyszcząca połowa tworzy pustą półkulę, składającą się z pewnej ilości cienkich współśrodkowych warstw. Wewnętrzna ściana tej połowy okryta jest cienką ciemno-brunatną powłoką. Sztucznie otrzymywane perły są bardzo kruche, skutkiem czego mało się nadają do wyrobu przedmiotów ozdobnych.

Temperatura księżyca.

P. T. Very przeprowadził ciekawe badania, w celu wykazania, jaka temperatura panuje przypuszczalnie na powierzchni naszego satelity. Stosując dwie rozmaite metody (obserwację promieniowań różnych stref księżycowych w rozmaitych fazach i użycie stałej promieniowania słonecznego), doszedł on do wniosków następujących: jest rzeczą prawie pewną, że znaczna część księżyca podlega w ciągu roku olbrzymim skokom temperatury. Powierzchnia jego wśród dnia, w tych szerokościach, w których słońce dosięga pewnej wysokości, jest prawdopodobnie gorętsza od wody wrzącej, a najstraszliwsze pustynie ziemskie, gdzie ludzie i zwierzęta giną i gdzie piasek pali skórę,—mogą dać zaledwie pojęcie o tem, czem jest w południe niezasłonięta powierzchnia naszego satelity. Jedynie tylko najwyższe szerokości biegunowe, - mogą mieć znośną temperaturę w ciągu dnia, gdy tymczasem trzebaby stać się jaskiniowcem, aby módz się uchronić od tak potężnego zimna, jakie panuje tam podczas zimy (temperatura nie przewyższa — 200°).

Olbrzymie gorąco, panujące w południe na księżycu, byłoby jeszcze większe, gdyby istniała tam atmosfera, posiadająca gęstość zbliżoną do gęstości atmosfery ziemskiej; i możliwe jest, że względny brak atmosfery, który z jednej strony pociąga za sobą niemożliwość życia w naszem ziemskiem pojęciu, jest z drugiej strony warunkiem niezbędnym zabezpieczenia jakiegokolwiek życia od zniszczenia wskutek zbyt wysokiej temperatury.

Sobole.

Sobole stają się w lasach Syberji coraz rzadsze. Dzisiejszy sposób łowów tych cennych zwierząt grozi zupełnem ich wyplenieniem w ciągu bardzo krótkiego czasu. Niegdyś soból stanowił zwierzę, spotykane pospolicie na całej przestrzeni lasów Azji północnej od Uralu do Kamczatki, a nawet w północno-wschodniej części Rosji europejskiej. W czasie zdobycia przez Rosjan Kamczatki sobole były tam tak pospolite, iż tuziemcy chętnie płacili podatki temi zwierzętami i wyśmiewali się z kozaków, że ci za tak pospolite zwierzątko ofiarowywują nóż lub inny również cenny przedmiot. W ciągu lat jednak sobole ustępowały coraz bardziej przed człowiekiem, a dziś natrafić na nie można tylko w niedostępnych prawie częściach lasów u źródeł rzek. Wciągu ostatnich lat 20 zmniejszył się przywóz skórek sobolich z Bargusińska do Lipska przeszło dziesięciokrotnie. Z tego powodu obecnie w lasach Syberji zaprowadzone być mają specjalne środki ochronne w celu zabezpieczenia soboli przed zupełnem wyginięciem.

Odpowiedzi Redakcji

Pani Salomei w Siedlcach. Dziwna rzecz, że nikt Sz. Pani nie mógł wskazać lokalu redekcji „Przyjaciela Zwierząt“. Mieści się ona właśnie w domu № 34 m. 9 na Nowym Świecie. — Ale może Sz. Pani załatwić to i listownie, przesyłając pod powyższym adresem.

Bibliografia.

Stefan Żeromski. „Wierna rzeka“, klechda. Str. 264. Spółka nakładowa „Książka“. Składy główne: S. A. Krzyżanowski, Kraków, J. Mortkowicz, Warszawa.

Edmund Jezierski. „Z życia obozowego Skautów“ podług Baden Powell'a, opracował Edmund Jezierski. Nakład „Naszego Świata“. Str. 96.

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU“:

W Warszawie	rocznie rb. 6.—	półr. rb. 3.—	kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.—	„ „ 3.50	„ „ 1.75
Za granicą i za oceanem „	„ „10.—	„ „ 5.—	„ „ 2.50

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie. Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 k. Reklamy—40 k. Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 k. Na 4 str. okładki—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa.” Redaktor **Feliks Kwaśniewski.** Kierow. liter. **Wacław Grubiński.**

Redakcja i Administracja: **Warszawa, Królewska 27. Telefony 226-83 i 152-05.**

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.